Nr. 38. Poznań, Niedziela 22. września 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen., pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Z początkiem przyszłego kwartału rozpoczniemy druk interesujących listów **Jerzego Brandesa** p. t. **„Dwór wiejski w Królestwie Polskiem“.** Są to wspomnienia któremi słynny Duńczyk po powrocie z Królestwa Polskiego dzielił się w roku ubiegłym z czytelnikami kopenhagskiego dziennika „Politiken“. Artykuły te zawierające mnóstwo ciekawych poglądów na stosunki polsko-rosyjskie, wybitnych działaczów politycznych i życie obywatelstwa wiejskiego, zyskały rozgłos niezwykły i zwróciły uwagę Europy na położenie nasze w zaborze rosyjskim. Uzyskawszy od znakomitego autora wyłączne prawo przekładu ogłosimy szereg listów jego, lśniących blaskami wytwornego stylu i bystrych obserwacyi, a owianych serdeczną sympatyą dla polskiego narodu; publikacyi tej dokonamy w tem przekonaniu, że zainteresuje wszystkich czytelników głos obcego, bezstronnego i cieszącego się europejskim rozgłosem pisarza.

REDAKCYA.

Wybory
w okręgu pszczyńsko-rybnickim.

Odbyte w przeszły czwartek w Żorach wybory uzupełniające do sejmu pruskiego zakończyły się klęską kandydata ludowego a zwycięztwem narzuconego ludowi kandydata Niemca. Z urny wyborczej wyszedł zwycięsko rektor katowicki Latacz, otrzymawszy 364 głosów, podczas gdy na kandydata ludu polskiego, adwokata Radwańskiego z Pszczyny, głosowało tylko wyborców 40. Był jeszcze trzeci kandydat, kandydat wolnokonserwatywny, landrat powiatu pszczyńskiego i na tego nawet padło znacznie więcej głosów niż na kandydata polskiego.

Taki rezultat wyborów zasmucił społeczeństwo nasze, które, zwłaszcza po burzliwem zebraniu przedwyborczem w Żorach, prawie już na pewno spodziewało się zwycięztwa ludu. W oczach wszystkich nieobeznanych dokładnie z stosunkami górnoszląskiemi, jest to klęska, klęska bardzo ciężka, budząca sceptycyzm co do przyszłości i dalszych losów walki. Mniemanie takie utwierdza jeszcze wrzask tryumfalny prasy centrowej, która również poczytuje wynik wyborów w Żorach za dobry prognostyk dla stronnictwa swego. A jak bezczelnie prasa ta sprawę tę wyzyskuje! Przywódzców ludu, kandydata jego i ową garstkę dzielnych wiarusów, którzy mieli odwagę śmiało zadokumentować wolę społeczeństwa polskiego, organa centrum obrzucają jadem i błotem, oszczerstwami, podejrzeniami i karczemnemi obelgami, a niestety znalazło się pismo polskie, które oszczerstwa te bierze za dobrą monetę i również karci spotwarzonych biedaków za niepopełnione wybryki. Pismem tem jest ten sam „Kuryer Poznański“, który niedawno temu z smutną odwagą twierdził, że także popiera sprawę ludu polskiego na Szląsku... Wierzy on atoli więcej rozpasanej zgrai szląskich piśmideł centrowych, niż trzem polskim uczciwym gazetom górnoszląskim, niż nawet pokrewnemu sobie duchem „Katolikowi“. A trzeba wiedzieć, że postępowanie tychże piśmideł centrowych jest w tym wypadku tak ohydne, tak obrażające, że już to samo zdradza, iż słuszności nie ma po ich stronie. Czytając elukubracye szląskich organów centrowych o wyborach w Żorach, sądzićby można, że ma się w ręku pisma anarchistyczne, redagowane przez towarzyszy Ravachola, a nie przez partyę, opierającą się rzekomo na prawach Bożych i przykazaniach kościelnych i posługującej się szumnem hasłem: „Za wolność, prawdę i prawo!“ Takie wystąpienie „Kuryera“ musi naturalnie powiększyć jeszcze i tak już wielki zamęt pojęć o sprawie górnoszląskiej, musi wzbudzić nieufność i niewiarę w słuszność żądań ludu i w dojrzałość jego i dla tego obowiązkiem uczciwej prasy jest sprawę tę jak najlepiej wyświecić i przedstawić rzecz tak, jak się ma w rzeczywistości.

Otóż wynik wyborów w okręgu pszczyńsko-rybnickim, jakkolwiek na pozór tak niepomyślnie się przedstawia, jest klęską lecz uważanym być może poniekąd nawet za zwycięztwo, w każdym zaś razie jest objawem dodatnim i uprawniającym do nadziei. Powiaty pszczyński i rybnicki to okolica, która pod względem narodowym zupełnie dotychczas leżała odłogiem. Są to dwa największe powiaty górnoszląskie, liczące razem przeszło 37 kwadratowych mil i dwieście tysięcy mieszkańców. Wprawdzie ludność ich jest prawie wyłącznie polską, — żywioł polski dochodzi tu do 95 proc., — ale bardzo ubogą, zależną, zafukaną. W obu powiatach panują wielkie latyfondya — w powiecie pszczyńskim księcia pszczyńskiego, w powiecie rybnickim księcia raciborskiego. Dużo tu lasów pańskich, między któremi z trudnością i mozołem walczy na lichej piaszczystej roli uboga ludność polska. Są to tak zwane powiaty głodowe, bo ostatnia klęska głodowa i tyfusowa tu największe zrobiła spustoszenia. Wioski, cieszące się lepszemi warunkami bytu, na palcach policzyć można. Zwykle, gdzie bieda materyalna, tam i brak oświaty, a stosuje się ta reguła najzupełniej do obu powiatów. Gazety polskie rozchodzą się tu w stosunkowo niewielkiej liczbie egzemplarzy, a walki wyborcze, jakie rozbudziły ducha w innych powiatach, w tych powiatach nigdy nie miały miejsca. Lud ślepo szedł za wolą księży, — więc też kandydatura posła centrowego zawsze była bezpieczną i pewną. Lud polski czuł, że nieraz krzywda mu się dzieje, że nie wszystko idzie tak, jakby tego pragnął, ale nie miał dość odwagi wyemancypować się z pod wpływu niemieckich przewodników i tylko w korespondencyach do gazet polskich wypowiadał ciężkie swe żale.

Ostatnim posłem do sejmu z okręgu tego był ś. p. Tadeusz Conrad, właściciel wielkiego gospodarstwa chłopskiego, Niemiec, ale uczciwy, mówiący wprawdzie licho po polsku, ale w stosunkach z wyborcami swymi chętnie się językiem tym posługujący, a przytem demokrata szczery. On to od lat wielu dopominał się w sejmie pruskim o lepsze prawo, chroniące włościan od szkód, wyrządzanych im przez zwierzynę z lasów pańskich. Jest to sprawa dla

włościan szląskich prawdziwie piekąca. Lasów tam znacznie więcej niż u nas, panowie szląscy dbają o zwierzynę i utrzymują jej mnogość wielką, a wyrządza ona na polach wiosek przytykających do lasów rokrocznie szkody ogromne, za które na mocy praw istniejących nie zawsze można uzyskać wynagrodzenie należyte. To też poseł Conrad, jakkolwiek zabiegi jego rozbiły się ostatecznie o spór stronnictw konserwatywnych i żywiołów konserwatywnych w własnem stronnictwie, zdobył sobie przez te zabiegi swoje między ludem wielką popularność. Był on zresztą i prasie polskiej i stronnictwu narodowemu do tyla sympatyczny, że nikt przeciwko wyborowi jego nie oponował. To też przy wyborach w r. 1893, kiedy śp. Conrada postawiono obok ks. Wolczyka na kandydata do sejmu w rzeczonych powiatach, wybór wyborców czyli „walmanów“ odbył się gładko i spokojnie. Prasa polska zatrudniona wyborami w innych okręgach nie mieszała się wcale do wyborów pszczyńsko-rybnickich, to też wybrano wszędzie „walmanów“ w myśl niemieckiego duchowieństwa: urzędników, nauczycieli, księży, dzierzawców proboszczowskich, kościelnych lub innych ludzi zależnych. Według istniejących przepisów dokonują wyboru uzupełniającego, w razie śmierci posła przed upływem kadencyi, ci sami walmani, których po raz pierwszy wybrano.

Jakże więc spodziewać się było można, że ci walmani, przeważnie bądź to Niemcy, bądź to zniemczeni obywatele lub też ludzie zależni, zapewnią zwycięstwo panu Radwańskiemu? Wprawdzie pewne koła liczyły raz jeszcze na to, że w duchowieństwie tamtejszem obudzi się wreszcie poczucie sprawiedliwości, i że duchowieństwo to uzna także, w myśl woli ludu, objawionej tak dobitnie na zebraniu w Żorach, kandydaturę p. Radwańskiego za lepszą od kandydatury Latacza, który niedawno temu oświadczył był w „Schles. Lehrer-Ztg.“ publicznie, że jest zwolennikiem powolnej germanizacyi. Tymczasem ta nadzieja zawiodła tak samo jak zawsze zawodziła dotychczas. Duchowieństwo tamtejsze nietylko, że życzenia ludu nie uwzględniło, lecz przeciwnie, zwalczało kandydaturę ludu najrozmaitszemi, a nie zawsze godziwemi środkami.

Opowiadano więc starym zwyczajem, że p. R a d w a ń s k i nie jest katolikiem lub bardzo lichym, że rząd, gdy p. L a t a c z przemówi do serca panu ministrowi, na pewno przywróci w szkołach język polski, a wreszcie nie cofano się nawet przed najniegodniejszemi kalumniami i represaliami.

Z drugiej znów strony czyniono bardzo mało, aby wyborców czyli walmanów pozyskać dla kandydatury p. Radwańskiego. „Katolik“, który w końcu co prawda stanął na wysokości zadania, z początku się wahał, ociągał, a gdy wreszcie uczciwie zabrał się do działania, już była pora spóźniona. Redaktor „Nowin“ przebywał jeszcze w więzieniu, a „Gazeta Opolska“ w tych właśnie okręgach ma najmniej wpływu, bo mały tylko zastęp czytelników.

Okoliczności były więc jak najtrudniejsze i jeśli mimo to, mimo brutalnego nacisku ze strony przeciwnej, nacisku, który posługiwał się nieraz kazalnicą i konfesyonałem, jednak znalazło się 40 mężów z ludu, którzy mieli odwagę zadokumentować otwarcie polskość swoją i wolę ludu, którzy nie wahali się rzucić rękawicy przemożnemu wrogowi, to objaw chyba b a r d z o d o d a t n i. Jest to pierwszy krok, uczyniony na drodze odrodzenia i walki o niezawisłość, — a krok wcale pewny i śmiały. Nie wątpimy, że przy zbliżających się wyborach do parlamentu lud pójdzie za przykładem tych 40 odważnych mężów, i że dowodnie przekona, iż niema powodu wątpić o jego poczuciu polskiem. Nie wątpimy dalej, że przy przyszłych prawyborach do sejmu wybierze takich walmanów, którzy mu nie narzucą posła niesympatycznego i raczej wrogiego. Szanse w powiatach tych są takie, że przy dobrej agitacyi lud śmiało zdobyć może większość mandatów wyborczych, a co najmniej zepchnąć centrum na stanowisko zależne, własnego zaś kandydata doprowadzić do wyborów ściślejszych.

Wątpić niema więc powodu. Z przebudzeniem się powiatów pszczyńskiego i rybnickiego dziś cały Szląsk stanął do walki o narodowe prawa swoje.

Rybniczanin.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„G a z e t a G r u d z i ą d z k a“ zamieszcza w nr. 108 następującą wiadomość:

„Któż to z nas nie słyszał o banku HKT w Poznaniu, o owym „Landbanku“, założonym przez rycerzy znaku HKT, lecz mało kto pewnie przypuszczał, że bank ten stać się może drugą komisyą kolonizacyjną, a tymczasem — niestety tak jest!

Mamy wszelką pewność, że dość znaczna liczba obywateli ziemskich powitała wiadomość o założeniu owego banku z niemałem zadowoleniem, i że ów „L a n d b a n k j u ż p e w n ą m a l i c z b ę o f e r t o d c h c ą c y c h s i ę p o z b y ć s w y c h m a j ą t k ó w o b y w a t e l i p o l s k i c h!

Panowie ci rozumują, jak sobie spółka HKT tego życzy. Zdawałoby się, że się tych rozumowań wedle recepty spółki na pamięć nauczyli.

„Landbank, to przecież instytucya prywatna i nie tak zła jak kolonizacya pruska“, powiada jeden, a drugi twierdzi z wielką zamaszystością, że „w takich sprawach narodowość nie może grać roli“.

Ślicznie!“

—

„G a z e t a G d a ń s k a“ tak charakteryzuje dolę redaktorów polskich czasopism ludowych:

„Redaktorzy pism naszych narażeni są na ciągłe procesa, które kosztują wielkie pieniądze. Myśmy już zapłacili kar i kosztów przeszło tysiąc marek — obecnie mamy dwa procesa nowe, które zapewne znów się zakończą grubą karą. Nieraz mrowie biednego redaktora przechodzi na myśl, zkąd przyjdzie wziąć pieniądze na karę i koszta. Praca nie idzie mu od ręki wśród ciągłych kłopotów i zaiste, gdyby gazeciarstwo nie było tak wzniosłą pracą dla idei i zagrożonych interesów biednego narodu polskiego, niejeden redaktor zwątpiłby o wszystkiem.

Od redaktora w naszych stosunkach wymaga się bardzo wiele — powinien on wszędzie być, wszystko wiedzieć, na wiecach i zebraniach przemawiać, pomagać w zakładaniu towarzystw. Ale to nie wszystko; redaktor nieraz robi i inne rzeczy, by pomódz biednym ludziom, którzy doń przychodzą z prośbami o pisanie próśb, zażaleń do władz, skarg i t. p. A takich spraw, które budzą litość z powodu krzywd wynikających z smutnego położenia naszego społeczeństwa — jest bez liku. Dzień też do pracy jest za krótki i trzeba noce zarywać, aby wszystkiemu podołać. Współpracownika bowiem dobrego trudno dostać, a choćby go się i dostało, nie ma go czem opłacić.

Jak redaktor nie ma za co jeździć, gdy ma płótno w kieszeni, wtedy mu to ludzie mają za złe, a nawet wierzyć nie chcą w to, aby redaktor nie miał mieć pieniędzy na koszta podróży. Posądzają go nieraz o złą wolę, ba odgrażają się, że jego gazety trzymać nie będą — a myśmy już odebrali nieraz listy obelżywe z wyzwiskami, w których redaktorowi grożono, że mu kości połamią. Takich kilka listów schowaliśmy sobie na wieczną rzeczy pamiątkę.

Boli to wszystko bardzo redaktora, któremu najniewinniej w świecie robią nieraz zarzuty i groźby. Gdyby jeszcze miał dostateczne dochody, byłoby pół biedy — aleć w naszych stosunkach takich szczęśliwców nie ma...

Cośmy tu napisali, nie jest wcale przesadą lecz prawdą. Prawdą też jest, iż jeżeli się stosunki u nas nie polepszą, nie ostoją się i te pisma polskie w Prusach Zachodnich, jakie obecnie wychodzą“.

—

Z rozumnego artykułu „O r ę d o w n i k a“ (nr. 210) o stosunku narodu do Kościoła cytujemy dla braku miejsca tylko ustęp następujący:

„W nadesłanych nam listach, mianowicie z Inowrocławia, poruszono także zachowanie się Władzy kościelnej względem obchodu Sedańskiego. Piszą nam: uderzacie tylko na lud, a nie uwzględniacie, że lud by

---

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

WANDA (*gorzko*).

Co pan znosisz we mnie?...

LEON (*smutnie*).

Pani mnie nie rozumiesz... Ja chciałbym panią uwielbiać, szanować... Lecz gdy pomyślę, że ty tego żądasz... że ty mnie do tego zmuszasz... (*gwałtownie*). Ha! jak ty mnie odurzasz.

(*Wanda wchodzi do sali i chodzi wzdłuż niej*).

LEON (*wchodzi za nią*).

Pani Wando!

WANDA (*obojętnie, chodząc*).

Słucham.

LEON (*stłumionym głosem*).

Obraziłem cię?

WANDA.

Powtarzam, że nie umiem się obrażać. Używaj więc pan.

LEON (*j. w.*)

Rózia ma słuszność... Obchodzę się z panią niegodnie.

WANDA.

Uwzględnia się niepoczytalnych.

LEON (*gwałtownie*).

Ja niepoczytalny?

WANDA.

Rzecz prosta, jeżeli nie panujesz nad sobą.

LEON (*j. w.*)

Jeżeli tak, to twoja wina! Dla czego mnie dręczysz?

WANDA.

W takim razie nielogicznem przepraszanie.

LEON (*j. w.*)

Logika! Mówię jak muszę!

WANDA (*ironicznie*).

Oddalasz się pan coraz więcej od swego ideału.

LEON (*porywczo*).

Co mnie on obchodzi?... Jestem, jakim muszę być!... I nie takim, jakim jestem w głębi, prawdziwie, lecz jakim pani mnie sztucznie stwarzasz!

WANDA.

Nie miałam i nie mam tej ambicyi. Zresztą jeżeli uważasz, że źle wpływam na ciebie, usuń się.

LEON (*gorzko*).

Gra twoja i dusza wszędzie mnie gonią. Przepadło! Usłyszałem raz, to dosyć, by pamiętać życie.

(*Wanda spogląda na niego*).

LEON (*z dziką radością*).

O, nie panią! Myślisz pani, że działasz na mnie jako kobieta? Mylisz się pociesznie, choć to łechce twą próżność.

WANDA (*szydersko*).

Ma się rozumieć, to zaszczyt tak wielki.

LEON (*szydersko*).

A jednak tak marna żądza spoczywa w duszach nawet takich jak ty kobiet i drga wszędzie, nawet w takich objawach, jak twa muzyka.

WANDA (*szybko zwraca się ku niemu, kładzie mu ręce na ramiona, patrzy w oczy przenikliwie i wzburzona mówi dobitnie*).

A chcesz wiedzieć, co drga w każdem twem słowie, zwróconem do mnie?...

LEON (*spuszcza wzrok, stłumionym głosem*).

Mów.

WANDA (*walczy z sobą*).

Nie, toby było zbyt podłe, brutalne... (*odrywa ręce i szybko się zwraca w stronę drzwi*).

LEON (*rzuca się za nią i przytrzymuje za ręce w otwartych drzwiach — gwałtownie*).

Mów!...

WANDA.

Puść mnie, jeżeli nie chcesz być upokorzonym!

zawezwany do kościołów, gdzie śpiewano „Te deum“ z powodu zwycięztwa wojsk niemieckich pod Sedanem etc. etc.

Oto mamy na talerzu wystawioną sprawę dotykalną, przy której potrzeba pewnej oświaty politycznej, żeby się w niej zoryentować.

Jest to jedna z tych spraw drażliwych i zawiłych, z jakiemi się w praktycznem życiu politycznem spotkać możemy.

Tu trzeba rozumieć i baczyć na to, że interesa Kościoła, albo ściślej mówiąc, interesa władzy kościelnej, nie zawsze zgadzają się z interesami narodowości polskiej.

Skutkiem tego w jednych sprawach Władza kościelna i nasze społeczeństwo świeckie muszą iść ręka w rękę, bo inaczej narażą się wzajemnie na straty. Są znów inne sprawy, przy których władza kościelna musi w pierwszej linii stróżować swych interesów kościelnych bez krępowania się względami na świeckie interesa narodowości. Świeckie społeczeństwo musi także w pewnych sytuacyach samo stróżować swych interesów narodowych — bez oglądania się i wyczekiwania za pomocą czy to Władzy kościelnej, czy duchowieństwa...

Byłoby to błędem politycznym z naszej strony, gdybyśmy skutkiem tego dwojakiego stanowiska Władzy kościelnej i społeczeństwa — do rządu pruskiego, mieli naruszać normalny stosunek naszego świeckiego społeczeństwa do Kościoła i duchowieństwa. Atoli byłoby również politycznym błędem, gdybyśmy z takiej sytuacyi nie mieli wyciągnąć nauki dla siebie, że w pewnych położeniach nie należy się wcale oglądać na Władzę kościelną, tylko siebie patrzeć i tem więcej narodowych interesów pilnować, że w pewnych położeniach jest Kościół dla siebie i naród dla siebie.“

—

Pod tytułem „Nowe prądy germanizacyjne“ pisze „Gazeta Grudziądzka“ w nr. 109:

„Prawdziwy obłęd wściekłości przeciw żywiołowi polskiemu opanował na nowo niektórych Niemców. Z gorliwością godną lepszej sprawy suszą sobie mózgownice, wymyślając nowe sposoby, za pomocą których mogliby nas zdławić, zniszczyć, zdusić, zabić pod względem narodowym.

Niejako na czele paraduje nasz wróg „Geselliger“. Do samego sejmu wdziera się jako gość nieproszony na swym szowinistycznym rumaku i radzi ukuć takie prawo, żeby każdy przed sądem zeznania swe robił po niemiecku. Jeżeli tego uczynić nie chce, choćby tylko trochę niemczyzny polizał, ma opłacać tłomacza...

Jeszcze dalej idzie w swej polakożerczości niejaki mądrala Richardi.

Ten dobrodziej udaje jakoby pobożną minkę i gani knowania, intrygi i nędzne machinacye Hakatystów jako rzeczy niemoralne, ale bez kropli wstydu żąda rzeczy tak strasznych, że braknie słów, aby napiętnować jego niecne plany...

I on domaga się ścisłego przeprowadzenia znajomości języka niemieckiego wśród polskiej ludności. W tym celu wprost potworną, w znaczeniu moralnem zbrodniczą daje radę, aby rząd wyznaczył prawem pewien termin, n. p. lat 20, w którymby to czasie wszyscy Polacy po niemiecku nauczyć się byli obowiązani. Kto wtedy jeszcze nie będzie w stanie gadać tym językiem, utraci wszelkie prawa obywatelskie, a więc nie będzie mógł sprawować żadnego, nawet najniższego urzędu, ani wybierać, ani być wybranym, a nawet nie wolno mu będzie prowadzić samodzielnie procederu, a więc na chleb zarabiać na polu przemysłu i handlu. Także otrzymają tacy ludzie opiekuna w sprawach sądowych. Zdawałoby się, że dość już tych pęt, aby zrobić z nas niewolników gorszych od biednych Murzynów. Ale to jeszcze nie wszystko. Pozostaje najbrzydsza reszta piekielnego pomysłu.

Nie ma być wolno wydawać polskich pism i gazet, a w kościele język polski musi zamilknąć na zawsze.

Chciałby więc ten wstecznik i prześladowca zakneblować nam usta, abyśmy ni skargi zawodzić, ni krzywdy swej dochodzić, ni praw swych domagać się nie mogli, ani chwalić Boga w języku, którego nauczyły nas matki.“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Białogrodzkiemu dziennikowi „Dnevni List“ donoszą z Macedonii, ze Soluna:

„Wiadomość o wykryciu i pojmaniu członków głównego komitetu rewolucyjnego bułgarskiego potwierdza się w zupełności.

„Policya turecka zarządziła znienacka rewizyą u profesora gimnazyum bułgarskiego Andrzeja Stojanowa, który jest równocześnie sekretarzem władyki bułgarskiego Synesyja; dalej u profesora Bojacijewa i Kusowa, u dyrektora gimnazyum Paskowa oraz znanych agitatorów bułgarskich Kumanowa, Sztipy i Koszanina. Przy tej sposobności policya wykryła pisma i broszury rewolucyjne, które obłożyła aresztem, a wszystkie wymienione wyżej osobistości uwięziono i oddano sądowi.

„Hasim pasza zwrócił się następnie z zapytaniem do władyki Synesyja, w jakim celu zostały wydane znaczne sumy bułgarskim nauczycielom, popom i agitatorom, dochodzące do wysokości 1,200,000 franków. Władyka mocno zaambarasowany nie wiedział co odpowiedzieć, a Hasim-pasza wręcz mu oświadczył, że go uważa za naczelnika buntu.

„Przeciw Synesyji wytoczył rząd na razie śledztwo; ale śledztwo to nie dotyczy sprawy powyższej, lecz morderstwa, którego miał się dopuścić władyka przed czteroma laty. Wynajęci przez niego mordercy mieli ubić nieprzyjaciela władyki, popa serbskiego Stojana Kyrsticza. Morderstwo to zostało popełnione w czasie, kiedy Synesyja był władyką w Oryli.

„Profesora Stojanowa obciąża i ta okoliczność, że utrzymywał stosunki z oddziałem „„dziada“ Kostoma, którego ubito, oraz że był oficerem bułgarskim.

„Te fakta świadczą, dokąd zmierza Bułgarya i odkąd sięgają nici sprzysiężenia, którego nikt nie pochwala. Rosyjskie i francuzkie konsulaty otrzymały od rządów swoich wskazówki, aby ludność przestrzegały przed propagandą bułgarską.

„Wobec tego niema wątpliwości, że oddziały powstańcze wkrótce zostaną zniszczone, bo się nie mogą mierzyć z wojskiem tureckiem“.

* * *

Wychodzący w Zagrzebiu „Srbobran“, organ główny Serbów węgierskich i chorwackich pisze o upadku moralnym społeczeństwa serbskiego w królestwie serbskiem:

„Gdy człek słyszy i widzi co się w dzisiejszem królestwie serbskiem dzieje, musi się z przerażeniem zapytać, czy to jest ten sam naród serbski, ci sami Serbowie, którzy dawniej byli. I niechcący przesunie się nam przed oczyma obraz Serbii wieków średnich, która miała również wielu nieprzyjaciół, równie niebezpiecznych, jakich dzisiaj posiada. Przyrównawszy starą Serbią z dzisiejszą uderzy go straszny kontrast, kontrast tak straszny, że mu krew w żyłach zamrozi.

„Zaiste jest to całkiem niezrozumiałem, jak dzisiejsi mężowie serbscy stanu mogą być do tyla krótkowidzącymi niepatryotycznemi, że się z historyi własnego kraju niczego nauczyć nie mogli. A są to właśnie ci mężowie, którzy w walce o wolność i niezawisłość Serbii tak dużo zdziałali.

„Stare królestwo serbskie wydaje się nam olbrzymem, któremu starczyło sił nadludzkich nieomal do poskromienia żywiołów mu wrogich. Było to centrum, około którego skupiała się Słowiańszczyzna południowa, a sława jego nie zginie w dalekiej przyszłości.

„Jak wygląda dzisiejsza nowożytna Serbia? Odkąd stała się królestwem idzie po torach dalekich od celu narodowego. Pierwszy król starego serbskiego królestwa Szczepan, już miał paść ofiarą zachodu i łaciny, ale brat jego, św. Lawa, w chwili decydującej nakłonił go do odrzucenia idei zachodnich i pozostania wiernym dawnym obyczajom i wierzeniom. To uczyniło Serbią wielkiem i potężnem państwem, tak że mało było wówczas królestw mogących się z nią mierzyć.

„A pierwszy król spółczesnej Serbii Milan? Odkąd z księcia został królem porzucil stare tory i oddał się duszą i ciałem najniebezpieczniejszym wrogom serbskiego ludu, Niemcom, a na kraj rodzinny sprowadza jedno nieszczęście za drugiem.

„Tak Serbia dzisiejsza żywi w własnym domu żmiję, która gdy do sił przyjdzie przegryzie Serbii żyłę ostatnią. Nie może to palić rumieńcem wstydu i żalu każdego Serba, gdy patrzy na to, co się w Serbii dzieje, kto w niej rządzi i jak to służy się idei serbskiej na Bałkanie?

„Dawniejsi nasi mocarze nie tak rządzili. Historya uczy nas, że nigdy cudzoziemstwo

---

LEON.

Chcę nim być! Upokarzaj!

WANDA (*gorzko*).

Brak mi odwagi na deptanie ludzi!

LEON.

Depcesz mnie ciągle, możesz i teraz! Mów! co?

WANDA.

Nie powiem. Wreszcie wiesz o tem lepiej odemnie.

LEON (*z rozpaczą*).

Nie wiem i to mnie najwięcej dręczy! Oświeć mnie! Miłość?

WANDA (*śmieje się z goryczą*).

Ha, ha!

LEON (*naglaco*).

Miłość?

WANDA.

Nie powiem.

LEON.

Trwoga przed tobą, przed twą grą?...

WANDA.

Będę milczeć, puść mnie.

LEON (*wstrząsa jej rękoma*).

Nienawiść dla twej potęgi?

(*Wanda milczy, nie wyrywa mu rąk tylko patrzy mu nakazująco w oczy*).

LEON (*rażony puszcza ręce; — z niewymowną goryczą*).

Przepraszam panią!

(*Drzwi zamykają się za Wandą; Leon trzymając się za głowę, szybko zbiega w głąb ogrodu*).

* * *

Pokój Wandy wieczorem; lampa zapalona, w głębi drzwi do sali na pół otwarte. Równolegle do stołu z lampą Wanda znużona w fotelu, z książką na kolanach, trzyma pochyloną głowę w dłoniach. Niekiedy podnosi twarz smutną, zadumaną, mówi niespokojnie.

WANDA (*podnosząc twarz*).

A gdyby on... a raczej ci wszyscy, których jest przedstawicielem, mieli słuszność? (*pochyla głowę — długie milczenie*) Znałam ludzi-Bogów i znałam ludzi-kretynów; pierwszych uwielbiałam, gardziłam drugimi... Bogowie nauczyli mnie myśleć, czuć, żyć inaczej od reszty... Kretyni nauczyli mnie gardzić tą resztą... czuć swą wyższość nad nimi... Nazywali się „ludźmi“ i wierząc, że są nimi, pomiatałam wszystkiem, co nie tchnęło bóstwem... (*milczenie*) Żyłam w świecie idealnym, patrzyłam na błoto; nie znałam ludzi, pracy, ni nędzy... Nędza kretynów nie wzruszała mnie; praca dla nich nie wydawała mi się obowiązkiem... Nie rozumiałam świata. I nagle świat ten wstrząsnął silnie memi ramionami, wołając: „jesteś wielka — czy podła?“ A ja nie znalazłam odpowiedzi — praca w imię nędzy i swobody, praca przez bunt życia wśród bezinteresownego, krwawego, codziennego trudu, któremu tylu poświęca swe ambicye i zdolności estetyczne, schwyciły mnie za kark i rzucają oskarżenie: „Nie uczyniłaś nic, choć powinnaś była!... Jesteś świecidłem na ranach Łazarza i pysznisz się tem jak spełnieniem powinności... Obowiązki nałożone na każdego uczciwego i świadomego człowieka leżą dla ciebie odłogiem“... (*wyciąga ręce w rozterce*) Co ja mam robić, by je wypełniać?... (*gorzko*) Gra moja jest trucizną... a poza muzyką nic nie robię!... „przestań grać“! Tego świat żąda odemnie przez usta Leona... (*szyderczo*) Czy ten świat nie wyrzuca mi czasem siły mojej?... Czy jej może nie znosi i chęć zdruzgotania jej, zmarnowania, nie ubiera w szatę wszechpotężnych argumentów?... (*nowa fala wątpliwości*) A jednak, czy wolno dziś oddawać się sztuce, gdy tyle potrzeb jest niezaspokojonych, gdy ucisk i nędza wołają głosem wielkim o pomstę do dusz uczciwych... gdy najświętsze prawa człowieka depce ohydny potwór brutalnej, zwierzęcej siły?... Czy wolno oddać się twórczości — rozwojowi swej duszy i temu, co pośrednio tylko wpływać może na zmianę warunków, gdy tyle głodnych i świat cały niewolnikiem?... (*gwałtownie*) Lecz na cóż te wszystkie wysiłki tysięcy dusz prawych i szlachetnych, jakiż ich cel? Wszak tylko stworzenie stanu rzeczy, w którym człowiek używać będzie indywidualnej i społecznej swobody, w którym będzie mógł bujnie się rozwijać fizycznie, umysłowo i moralnie, w którym każda istota wyda z siebie, z minimum wysiłku, maximum odpowiedniej siły, w którym znajdzie się pole

w kraju naszym się nie panoszyło. Starzy Serbowie strzegli tak bacznie praw narodu, że na króla samego się rzucili, gdy spostrzegli, że poddaje się wpływom niemczyzny. Miejmy nadzieję, że duch narodu jeszcze nie zginął, że chwila nadejdzie wkrótce, w której zrzuci ze siebie jarzmo polityki cudzoziemskiej".

* * *

Wychodząca w Nowym Sadzie, w Sławonii, serbska „Z a s t a w a" („Sztandar") pisze o stosunkach narodowościowych na Węgrzech:

„Uprzytomnijmy sobie, jaki w nas stan rzeczy obecnie! Okrągło jest mieszkańców wszystkich na Węgrzech piętnaście milionów, z tych jest pół miliona Serbów, więc stanowimy trzydziestą część liczby. Najczystszy i najprostszy jest rachunek, że jeden naprzeciw 30 nic nie zrobi. Nie mamy też nadziei, ażeby zkądkolwiek otrzymać pomoc materyalną lub moralną. Nie jestże więc jasnem jak słońce, że Serbowie nie powinni stać na uboczu, ale szukać sprzymierzeńców.

„Jeżeli rozważymy, że z owych 15 milionów ani sześciu milionów nie stanowią Madziarzy, (z tej liczby nie wyłączamy żydów i cyganów oraz Słowian zmadyaryzowanych) i że owe sześć milionów Madziarów rządzi całą monarchią i owemi dziewięciu milionami Niemadziarów, to znowu jasnem jak słońce, że my Serbowie powinniśmy w jednym z ostatniemi stanąć szeregu. Z tych dziewięciu milionów Niemadziarów najliczniejszymi są Rumuni, których jest okrągłe trzy miliony, po nich idą Słowacy z ludnością dwumilionową. Resztę stanowią Niemcy i Rusini.

„Serbowie oddawna, chociaż liczbą najmniejsi, odgrywali zawsze jednę z najgłówniejszych ról wśród narodowości niemadziarskich i to dzięki temu, że oświata i nauka znajdowały się w nich zawsze na wyższym stopniu.

Jeżeli dziś narodowości niemadziarskie występują zgodnie w obronie praw swoich, to pora najodpowiedniejsza nam Serbom przyłączyć się do nich i uznać sprawę ich za wspólną z naszą sprawą.

Jesteśmy razem z innymi pokrzywdzeni w swych prawach najświętszych. Dziś nas nie wpuszczają już do sejmu, jeden po drugim następuje zamach na naszą narodowość. Czas jest krytyczny, chwila decydującą, więc z nich korzystajmy i działajmy!"

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

O „Rodzinie Połanieckich".

(Dokończenie.)

Trudności tych nie miał Sienkiewicz, kreśląc panią Broniczową. Dość mu było taki typ znaleźć, aby przy znakomitym darze obserwacyi i niepospolitym zapasie humoru, przenieść na papier nieocenioną ciocię panny Linety. Komedyopisarz, któryby taki typ wprowadził na scenę, zapewniłby nim jednym powodzenie swej sztuce. Ta wdowa po ostatnim z Kurykowiczów, chodząca w ważnych chwilach na cmentarz, aby pytać się o radę zmarłego Teodora, ten Zagłoba w spódnicy kłamiący „aż ściany schną" o swych koligacyach, dawnych zdobyczach miłosnych i powodzeniu Castelki, ta kobieta głupia do ostateczności, a przecież posiadająca właściwy sobie spryt i przewrotność, ta czuła opiekunka siostrzenicy, wiedząca „co się dzieje w sercu matki, choćby była tylko ciotką" ta przeciwniczka rodu męzkiego, podejrzewająca czy wogóle mężczyźni mają jakiekolwiek serca, należy bez wątpienia do najzabawniejszych kreacyi naszej belletrystyki.

Dobrą jest i Aneta Osnowska, kokietująca każdego kto się jej nawinie, flirtująca zrazu na zimno, aż póki nie znalazła Kopowskiego, który się samym flirtem tylko nie zadowolnił. Lepszym jeszcze jest jej mąż, ślepo w niej zakochany, a ztąd nie widzący tego, co wszyscy widzą; jako człowiek dobry, poczciwy, serdeczny, ma za sobą sympatyę czytelnika, który też więcej odczuwa jego straszny zawód, aniżeli nieszczęście Zawiłowskiego, a sympatya ta zwiększyłaby się jeszcze, gdybyśmy wiedzieli, że ten Osnowski cośkolwiekbądź robi, że jest czemś więcej niż mężem swojej żony. Świetnym jest stary szlachcic arystokrata Zawiłowski, krewny poety, który nie chce wydać córki za cudzoziemca, bo to „kiepściejsza rasa", który nie "bierze za złe" swemu krewniakowi, że pisze wiersze, bo "pan Zygmunt był szlachcic i pisywał i to, panie, nie od parady — pan Adam był także szlachcicem, a głośno o nim, głośniej niż o tym furfańcie, co się bawił w demokracyę... Jakże mu tam?" Typy takie schodzą już z pola, a choć są śmieszne i mogą często irytować, mają przecież w sobie dużo oryginalności, a umieją się zdobyć na ofiarę, gdy tego potrzeba. Przepyszny jest i stary donżuan papa Pławicki ze swoją udaną serdecznością i „poświęceniem" dla córki.

Pomijam już inne typy, z których każdy zaciekawia, bo wybornie jest narysowany. Na najwyższą pochwałę zasługuje objektywność autora. Nie potępia on nikogo, w każdej ujemnej postaci zdoła wynaleźć i stronę dodatnią, bo nawet Maszko, choć wstrętny, ma chwilę szczerości, zdolny jest czasem do uczuć szlachetniejszych. Tak bywa przeciętnie w życiu; skończonych aniołów i szatanów jest bardzo mało; u jednych ludzi przeważa egoizm, u drugich altruizm, a stopień tej przewagi stanowi o charakterze, o wartości człowieka.

Scen pięknych w „Rodzinie Połanieckich" jest bardzo dużo. Wspomniałem już o scenie pierwszego zbliżenia się Połanieckiego z Maryną, ale nietylko ta, lecz wszystkie sceny z pobytu Połanieckiego w Krzemieńcach są cackiem artystycznem. Takiemi samemi są wszystkie te, do których wchodzi Litka, a ponieważ nie brak jej prawie nigdzie w całym tomie pierwszym, przeto wymienianie ich byłoby za długiem. Od pogrzebu Litki aż do ślubu Połanieckiego powieść nieco się wlecze. Dzięki bohaterowi, który wciąż się waha, wciąż jest niezdecydowany w analizie swego uczucia dla Maryni, ale i tu są ustępy pełne życia, świeżości, delikatnie wyrzeźbione, dzięki znów udziałowi w nich bohaterki. Najmniej może potrzebna cała awantura Gątkowskiego z Maszką, bo gra w powieści rolę Piłata w credo, również jak i cały Maszko, który potrzebny zrazu Sienkiewiczowi do odkupienia sumy na Krzemieniu, kręci się później przez całą powieść, zupełnie bez celu, chyba na to jedynie, aby Połaniecki miał przelotny romans z jego żoną, i miał sposobność wywołać w sobie zgryzoty sumienia. Od wstąpienia na scenę Zawiłowskiego znów idzie cała serya scen pełnych życia, znakomicie zaobserwowanych, lirycznych, humorystycznych, erotycznych, dramatycznych — słowem, co kto woli. W końcowych rozdziałach zakocha się niejedna czytelniczka, bo są pełne sentymentu, nabrzmiałe urzędową miłością. Ożywia je Sienkiewicz wprowadzeniem „najmłodszego z aryjczyków", Stasia, syna Połanieckich; promyk to wrzaskliwy wprawdzie, ale promyk. Wybornie wreszcie występuje tu Gątowski ze swojemi kłopotami, jakie mu sprawiają serwituty i wiejskie pocieszycielki jego rozpaczy po utracie Maryni.

Jak zwykle u Sienkiewicza spotykamy w powieści dość ustępów głębszych i nieco charakterystycznych stosunków społecznych i towarzyskich. Wyborne są n. p. uwagi Jamisza o tem jak

---

urodzaju dla wszystkich objawów ducha, w którym dzikie materyalne i społeczne więzy przestaną nas krępować, w którym geniusz marnować się nie będzie, w którym duch ludzki, wolny od pęt ucisku, wybuchnie ogromną potęgą i do gwiazd sięgnie, by ujarzmić systemy planetarne; sięgnie do głębin przyrody, by wyrwać tajemnicę jej wnętrza, w którym praktyczna, gruba strona życia zabijać nic będzie duchowej, lecz udoskonalona poruszającą się z najmniejszym wysiłkiem człowieka, bezwładnym ruchem porządku, da mu się pogrążyć w życiu wyższego stopnia (*jeszcze namiętniej*) Oni pracują, by takich jak ja było jak najwięcej. A gdy spotkają takiego przedwczesnego członka przyszłych społeczeństw, piętnują go hańbą bezpożyteczności i zakuć chcą w dyby zajęć praktycznych, by go zniszczyć! Nie znoszą, by ktoś inaczej żył od nich... i używał praw swej natury! I oni... oni... apostołowie swobody człowieka, wyjątkowe dotąd przykłady tych zachowanych praw rozwoju i życia nazywają bezprawiem! (*gorzko*) Oni bezwiednie tak zagubili w sobie instynkt wolności i niezmąconą świadomość praw człowieczych, że choć pracują nad ich utrwaleniem konkretnem, ciemiężą własne wyniki tyranią nową... i zdają się pracować w imię domniemanego tylko dobrego ideału, którego treść jest dla nich ciemną! (*gorzko*) Barbarzyńcy! ciemiężyciele nowego rodzaju, tworzący szereg bojowników wolności ludzkiej! (*śmieje się szydercza*) Więc dla tego, że czasy raju nie nastały nie wolno być tem, do czego wszyscy świadomie lub bezwiednie, pośrednio czy bezpośrednio dążą?... Nie wolno słuchać praw swej natury dla tego, że inni nie potrafili ich zdobyć jak my, mimo zabójczych warunków, dla tego, że tamci dostąpią ich, nie mocą swej indywidualnej potęgi, lecz dopiero ze zmianą ogólnych warunków, logiką faktów zewnętrznych?... Więc nie wolno nam używać tego, co nam się należy? Nie wolno używać zdobytej swobody? (*wpada w zadumę; gorzko*) A jednak oni słuszność mają! Egoistycznie cieszyć się swobodą rozwoju i życia i nic nie czynić, by się stała powszechną, to podłe!... (*długie milczenie — dziko*) Ha! my, my mamy swobodę?... Nas uciskają więcej niż kogokolwiek, bo nam jej więcej potrzeba! A gdy z bolów i męczarni wychodzi siła nasza niezłomna, potęga naszej myśli, oni rzucają tej myśli bohaterstwa czynów: „tyś czczai płowa!" Czy oni cierpieli jak my? Nie, bo my cierpimy także przez pospolitość i barbarzyństwo cywilizowanych nawet, bo my należymy do mniejszości i rozproszeni w odmiennej większości, rzadko spotykamy równego, podobnego, bliźniego, brata! A ci inni szarpią nas i dręczą ciasnotą uczuć i pierwotnością myśli; bo my cierpimy przez brak odczucia, wspólności, przez wielkie jak śmierć i chłodne jak międzyplanetarna próżnia odosobnienie; bośmy zbłąkanymi z przyszłości, przedwcześnie zrodzonymi ludźmi nienadeszłych czasów. A te dzikie czasy współczesne z swem ohydnem barbarzyństwem niewoli, gwałtów i nędzy z jednej, z swym miałkim utylitaryzmem społecznym z drugiej, z swą zgnilizną, małością i płytkością większości z trzeciej strony, wyniszczają nas przedwcześnie. I myśmy krzywdzeni, oh, jak krzywdzeni! A świat napełnia nam czarę rozpaczy, rzucając nam krzyk nędzy i nawoływanie do powinności, słusznie czy błędnie?... Niewiadomo! Lecz głos ten wyje przekleństwem i groźbą w naszych sumieniach! I oddamy się... oddamy w niewolę zabijającej, przymusowej pracy, by za lat tysiąc wyborne pokolenie mogło *nam być* podobne, lecz bez katuszy sumienia! (*długie milczenie — z rozpaczą*) Piekło! (*zakrywa twarz rękoma, nieruchoma*).

(*Leon staje w drzwiach, długo się waha*).

LEON (*nieśmiało*).

Pani... Wando!

(*Wanda podnosi oczy*).

LEON (*nieśmiało*).

Czy można?... Nie przeszkadzam?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ziemia uszlachetnia, ale i psuje, o jej stanowisku w bogactwie narodowem, o wadach naszych rolników. Wszystko to, co mówi Waskowski jest zawsze głębokie, czy to snuje swoje marzenia o Arjach i chrześciaństwie, czy to wspomina o amatorstwie kolekcyonowania. Znakomitym, godnym przedruku aż do skutku jest ustęp z jego listu o przeciążaniu dzieci nauką; silny to protest przeciw wadliwemu systemowi, podtrzymywanemu wbrew rozumowi przez oficyalnych pedagogów.

O piękności stylu i języka sienkiewiczowskiego zbytecznem chyba wspominać. Gra on na jego klawiszach jak wirtuoz skończony. Jeżeli Słowacki mógł irytować poetów „bezczelną łatwością pisania pięknych wierszy“, to każdy powieściopisarz zazdrości zapewne Sienkiewiczowi jego wspaniałej prozy, tej niemożliwej prawie do naśladowania prostoty, która jest szczytem piękności stylu, to znowu poetyczności obrazów, a wreszcie tych nagłych zwrotów, lapidarnych określeń, rozstrzygania zawiłej kwestyi kilku słowami, rzuconemi jakby od niechcenia..,

Ale pomimo oddania należnego hołdu olbrzymiemu talentowi Sienkiewicza, trudno nie mieć do niego urazy za Połanieckiego i Marynię. Ich małoduszność i małostkowość zawisła nad całym utworem.

Zauważono to już zresztą (Tretiak), że ile razy Sienkiewicz chciał stworzyć z bohaterów swoich postacie dodatnie, reprezentujące pewne idealy społeczne, cofnął się do przeszłości. Jego obserwacya ludzi i stosunków nam współczesnych wyrastała prawie zawsze na gruncie pesymizmu i satyry. Grunt ten wydaje wprawdzie owoc gorzki, ale posiadający zarazem często własności lecznicze. Powieść „Bez dogmatu“ mówi wyraźnie: nie bądźcie takimi jak Płoszowski, bo jak on marnie zginiecie, weźcie ze sobą dogmat na drogę życia, bo inaczej staniecie się jak owo drzewo nierodzące. I gdyby Sienkiewicz nie ukochał w Połanieckich pary swych bohaterów, gdyby nie wmawiał w czytelnika, że mimo swych wad są to postacie dodatnie, za wzór służyć mogące, gdyby patrzał na Połanieckiego i Marynię przez te same szkła, jakich wziął do obserwowania pani Broniczowej i jej otoczenia, stworzyłby powieść satyryczno-obyczajową, a doniosła misya takiej powieści nie ulega zaprzeczeniu. Ale Połanieccy tacy, jacy są, to przytępianie zmysłu moralnego, to pobłażanie wadom i występkom, to obrona błagi, filisterstwa i nicości...

Ale nie jedyny to zarzut, jaki postawić można najnowszemu utworowi Sienkiewicza; obejmuje on szerokie sfery, bo arystokracyę, półarystokracyę, szlachtę, inteligencyę; — mają w nich przedstawicieli: sztuka, poezya, pedagogia, prawo, przemysł, handel... A z całego tego tak szerokiego obrazu wyziera jakaś czczość, jakiś brak zasad, przekonań, dążeń programu — nie ma pomiędzy jego aktorami żadnego społecznego łącznika, żaden wspólny cel nie przyświeca najlepszym z nich, najsympatyczniejszym (prócz Waskowskiego). Wszyscy — z maleńkim wyjątkiem — mają dostatków w bród — kto ich nie posiada od kołyski, temu autor przychodzi w pomoc darowizną, niespodziewanym spadkiem, świetną operacyą finansową. I tych dostatków używają na życie próżniacze, nieustanne świętowanie, włóczęgę po Europie, wycieczki, tańce, zabawy, tualety, na „bywania“, na five o'cklocki, na lawn-tenisy. A nad całem tem życiem, nad całą powieścią unosi się, wypełnia ją erotyzm wszelkiego rodzaju i gatunku. Wydaje się, jakby się rozbiła beczka ze strzałami Amora. Kochają się wszyscy: Połaniecki, Marynia. Zawiłowski, Castelli. Osnowski, Aneta, Krasławska, Maszko, Kopowski, Świrski, Ratkowska, Gątowski, Bigielowie, nawet dziecina Litka i stary Pławicki — a każde na swój sposób, ztąd powstaje cała skala miłości od najidealniejszej do najbrutalniejszej. A kto się jeszcze nie kocha, tego do miłości zmuszają: Bigielowie z Emilią wysyłają Połanieckiego do Krzemienia, by się zakochał, Aneta z Marynią wmawiają w Zawiłowskiego miłość do Castelki. A kto się już nie kocha, ten jest miłości pośrednikiem: Broniszowa, stara Krasławska, stary Zawiłowski, Emilia, Waskowski. Któżby śmiał twierdzić, że miłość nie jest potężnym czynnikiem, ktoby śmiał zaprzeczać jej pierwszorzędnej roli w życiu ludzkiem, — alež nie jest ona alfą i omegą, istnieje poza nią cały świat pracy, żądz, pragnień i ideałów. W „Rodzinie Połanieckich“ jednak wszystko i wszystkich absorbuje miłość. Amor w niej włada niepodzielnie.

Czy tak jest gdzie na świecie, czy jest tak w naszem społeczeństwie? Nie, na szczęście poza uwielbianiem modrych i czarnych oczów, poza sentymentem i pociągiem płciowym społeczeństwo nasze oddaje się wypełnianiu tysiąca innych zadań, mniej lub więcej doniosłych, ale zawsze przerastających swą treścią fizyologiczne popędy — a jeżeli powieść taka, jak „Rodzina Połanieckich“ obejmuje dwuletnie dzieje szerokich i rozlicznych sfer towarzyskich, to ma się prawo wymagać od niej, aby odzwierciedlała w sobie pracę, myśli, dążenia społeczeństwa i panujące w niem prądy, a przynajmniej je zaznaczyła.

Jeden z rosyjskich krytyków „Rodziny Połanieckich“ powiedział, że powieść ta jest „obrazem, przedstawiającym dzisiejsze polskie społeczeństwo“. Przeciw temu stanowczo zaprotestować należy, bo gdyby tak było, tenże sam krytyk miałby prawo dodać: „I czego chcą ci ludzie? czemu narzekają, za czem tęsknią? — mają pieniądze, próżnują, bawią się, flirtują, kochają — szczęśliwi!“

I oto właśnie, że ów krytyk miałby prawo te słowa napisać, jest największym zarzutem, jaki postawić można najnowszej powieści Sienkiewicza.

* * *

Kończąc opis moich wrażeń, nie mogę powstrzymać się od zapytania: czy „Rodzina Połanieckich“ spełnia to wysokie zadanie, jakiego spełnienia wymaga od powieści sam Sienkiewicz? czy „krzepi życie, uszlachetnia je, czy niesie dobrą nowinę!? czy dostarcza zaczadzonym świeżego powietrza, zwątpiałym nadzieję, targanym niepokojem spokoju“?....

Zdaje mi się, że odpowiedź wypadnie przecząco. I dla tego lubo „Połanieccy“ powiększają plon artystyczny ich autora, lubo znawcy i esteci z rozkoszą będą odczytywali pojedyńcze tej powieści ustępy — nie zostanie ona policzoną w poczet z a s ł u g i c z y n ó w Sienkiewicza. Chyba, że kto jest wyznawcą „sztuki dla sztuki“, ale chwała Bogu, takich coraz mniej widzimy, a w n a s z e m położeniu całkiem widzieć nie powinniśmy. Zresztą i sam Sienkiewicz w „Listach o Zoli“ gorąco przemówił za szlachetnym utylitaryzmem powieści.

Kazimierz Bartoszewicz.

Nasza kobieta w powieści lat ostatnich.

Nie możemy się uskarżać, ażeby powieść nasza zaniedbywała sprawę kobiecą. Przeciwnie, odbija ona aż dotąd wszystkie nieomal jej koleje i maluje każdą sferę, począwszy od owych wydziedziczonych na najniższych szczeblach drabiny społecznej, aż do wykolejonych, które z salonów i pieszczot przejść muszą do twardej pracy zarobkowania i osamotnienia.

W taki sposób utworzyćby się dały całe cykle powieści, z których każdy dotyka pewnej strony kwestyi i, niezależnie od sympatyi autora lub autorki, od prawdy przedstawianych postaci i sytuacyi świadczy przecież, że społeczeństwo i świat piszący zajmuje się owem przeobrażeniem wewnętrznem, jakiemu od paru lat dziesiątków podlega bezsprzecznie nasz świat

---

Hr. LEW TOŁSTOJ (syn).

POKUSA.

(Ciąg dalszy.)

— Czy mam się znowu upić? To też na nic się nie zda. Wstrętne, wszystko wstrętne. Począł szybko łypać oczyma.

— Weźmiesz więc udział w wycieczce? — pytał Własow, który się w tym czasie był ubrał.

Nie wiem jeszcze, bracie. Ciebie w każdym razie nie namawiam. Przyznam ci się, że nudziłem się w ostatnim czasie; może i dobrze będzie, że się cokolwiek rozerwę. Stępiałem od tej ciągłej nauki. A i tak z tych wszystkich błazeństw nikt pożytku nie ma. Tu sęk!

Iwański lubił dosadne wyrażenia.

— Nie masz humoru — odparł Własow, uśmiechając się smutnie. — Wstań no teraz, wypijemy herbaty — dodał weselej i zawołał o śniadanie.

Krótko po tem wszedł służący „zajączkiem“ przezwany, mały ruchliwy człeczyna bez zarostu, w surducinie wyszarzanej, niosąc syczący samowar, dwie bułeczki i najnowszy numer „Ruskich Nowin“.

— Dzień dobry panom — odezwał się — składam me życzenia w dniu świątecznym.

— Dziękuję ci, „zajączku“ — odparł Iwański.

— Z numeru 15 już pośli dawno na uroczystość — paplał „zajączek“ pospiesznie. Panowie rączyli długo spać, już po dziesiątej.

Zajączek opuścił pokój. Iwański i Własow wypili herbatę, przejrzeli gazetę, ubrali się i wyszli na ulicę.

III.

Własow wziął udział w uroczystości uniwersyteckiej, potem jadł w restauracyi „Moskwa“, wreszcie widział i słyszał to wszystko, o czem tak długo marzył. Mowy, dłuższe i krótsze oracye sypały się; rozmawiano z sobą po przyjacielsku. Dużo kieliszków wychylono na pomyślność studentów, uniwersytetu, profesorów i nauki.

Własow oczarowany był kilku profesorami. Jeden z nich każdemu rękę ściskał i wyrażał im najserdeczniejsze życzenia. Inny znów prostotą swą zadziwiał, — widząc go, niktby go nie miał za profesora. Trzeci przemawiał krótko lecz pięknie o znaczeniu wiedzy i o tem, co w związku z nią stoi, o studentach i o wszechnicy.

— Prawdziwa swoboda i równość — pomyślał Własow, opuszczając o godzinie 7-mej restauracyę — wszystko było bardzo wzniosłe!

Był zadowolony. Przedewszystkiem cieszyło go, iż on również mógł brać udział w uroczystości, jako dorosły i jako równy w gronie najwykształceńszych i najbardziej podziwianych ludzi.

Własow był z siebie także zadowolony. Tak jak postanowił, pił mało i czuł się zupełnie trzeźwym. Sądził, że reszta dnia równie szczęśliwie dla niego minie, gdy obiad, który za najniebezpieczniejszy dla siebie uważał, tak dobrze się zakończył.

— Kieliszek szampana — liczył Własow w duchu, biegnąc szybko do mieszkania — pół szklanki piwa, a nawet nie tyle, ćwierć kieliszeczka likieru, ot i wszystko. Dzielnie się trzymał. Własow odczuwał tę radość, która go nad ranem przepełniała. Ulica wydawała mu się po zgiełku uczty niezwykle martwa; było mu błogo.

Mróz orzeźwiał i szczypał go w uszy. Przez ulicę mknęły sanki, na chodnikach ludzie spiesznie biegli, okna wystawowe jasno były oświetlone.

— Na chwilę tylko wpadnę do domu, by zajrzeć, czy listów od rodziców nie ma, potem pójdę do teatru — rozważał w duchu — a jutro znowu zasiądę do pracy. Muszę wyuczyć się praw Newtona; życie pójdzie dalej pięknie i błogo. Uczyć się, uczyć!

Własow pomyślał o Iwańskim. Pił dużo przy stole; zauważył to i zaczął się niepokoić.

— Dzisiaj znowu rozhula się — pomyślał.

kobiecy. Zdobycze równouprawnienia bowiem nie wyrażały się dotąd w przejawach zewnętrznych, takich, jak akty prawodawcze na korzyść kobiet, stworzenie dla nich lub otwarcie instytucyi naukowych, rozszerzanie zakresów zawodowej pracy. Jak całe nasze narodowe życie idzie ono raczej w głąb i wyraża się w przekształceniu poglądów na sprawę kobiecą, w nowem jej stanowisku wśród społeczeństwa, a głównie w zmianach duszy kobiecej. Z biernej staje się ona czynną sprężyną postępu, z istoty, która należała tylko do rodziny, tworzy się człowiek, który poczuwa się do praw i obowiązków obywatela.

Zewnętrzne warunki, w których żyjemy, zmieniły się przecież tak mało, że to przebudzenie człowieka w kobiecie połączonem jest zawsze z walką, okupione cierpieniem, że ją często wykoleja, a zawsze postawić musi na nowym, obcym dla niej, a więc zrazu nieprzyjaznym gruncie, który powoli zdobywa, przystosowując doń swoją moralną i umysłową istotę, i otrzymując w taki sposób prawo poruszania się po nim, jako istota samodzielna i świadoma swej drogi.

Ostatnią powieścią w beletrystyce naszej, osnutą na dziejach takiego wychowania kobiety-dziecka na kobietę-człowieka jest J a n k a*) p. Gabryeli Zapolskiej.

Przekształcenie powolne naiwnej, dziecinnej niemal postaci kobiecej w człowieka skończonego, który potrafi stawić czoło życiowym przeciwnościom, scharakteryzował nam przed paru laty W. Feldman w postaci swej Jadwigi („W okowach"). Prześliczną postać dziewczęcia, które zapoznaje się z życiem, łamie z niem, walczy i po przez cierpienia i walki zdobywa samodzielne *ja*, mamy w Madzi Prusa („Emancypantki"). Autor pozostawia ją wprawdzie w przełomowym okresie, kiedy wzburzony umysł szukał za kratami klasztornemi chwilowego ukojenia, ale cała istota Madzi pozwala nam wyobrazić ją sobie znów za obrębem owej kraty, przystępującą do życia z nowym zasobem sił. Janka z obu wyżej wymienionemi powieściami, zwłaszcza z Madzią, ma dużo rysów wspólnych, ale tak bardzo zindywidualizowaną jest przez autorkę, że przyznać jej musimy całkowitą oryginalność typu. Postacie Jadwigi i Madzi nakreślone są przez stojących z boku obserwatorów; nie przeczymy, że Madzia ma ze wszystkich trzech najwięcej artystycznych pierwiastków, ale Janka wygląda jak część autobiografii, trudno nam pozbyć się wrażenia, że autorka wcieliła w nią cierpienia własne i radości, że przedstawiła swe sympatye i wstręty, odczuwała blizko ją dotyczące zawody i cieszyła się z tryumfów, odniesionych nad własnem „ja". Jankę stworzył kobiecy umysł, z całym niewieścim subjektywizmem, drga nam ona w ręku, jak istota żywa, imponuje siłą uczucia, bogactwem temperamentu a czystością wyobraźni i myśli, porywa mimowoli i zapominać każe o usterkach, a nawet nieprawdopodobieństwach, które wkradły się, zwłaszcza do pierwszego tomu.

Janka Podolska pochodzi ze starej szlachty polskiej. Ojciec jej, znany dziwak, przedstawiony niemal karykaturalnie, zaniedbuje córki, gdyż one nie mogą uwiecznić rodu; cały majątek przeto przekazać ma synowi. Autorka pomija to prawo, które w Królestwie dzielić każe mienie na równe części między dzieci i przedstawia nam dwie zaniedbane ogromnie dziewczyny, które nietylko nie otrzymały wychowania ani wykształcenia, ale którym nawet skąpi ojciec na jedzeniu i ubraniu, nie zadawalniając najskromniejszych nawet ich życzeń. To też dziewczęta wyrastają zupełnie dziko, apatycznie przyglądają się otaczającemu je światu, trawią dnie w bezczynności, zrezygnowane na staropanieństwo i bezbarwne życie. Monotonią tej egzystencyi przerywa dla starszej, Janki, ukazanie się korepetytora brata, Kuniewicza.

Typ to kreślony tylko w ogólnych rysach, przesadny nieco, ale dla tych, co znają naszych młodych ideologów, niepozbawiony psychicznego prawdopodobieństwa. Kuniewicz żyje ideą; teoryą jaką? autorka nam nie mówi, z dorywczych słów jego domyślić się przecież można, że to jeden z owych radykalnych propagatorów, którzy życie swoje i swoich najbliższych wtłaczają w doktrynerskie formułki, żyją wyłącznie myślą i palą się we własnym ogniu, ginąc przedwcześnie przez brak życiowego oportunizmu. Młodzieniec nie zwraca na Jankę uwagi, ale każde słowo jego jest tak odmienne od tego, co usłyszeć mogła wśród swego otoczenia, iż dziewczyna budzi się do życia, myślenia. Przy pomocy dostarczanych jej przez Kuniewicza książek wyrabia sobie światopogląd odrębny od świata przesądów, w jakim żyła dotąd, a przedewszystkiem nieświadomie zrazu, przywięzuje się do swego mistrza całą siłą młodego serca. Kuniewicz nie zdaje się przecież tego spostrzegać i pilnie baczy, aby względem niej spełniać tylko obowiązek ludzki, rozbudzając inteligencyę; wreszcie, nie zastanowiwszy się nad mimowolnie względem Janki zaciągniętemi obowiązkami, wyjeżdża do Paryża. O życiu Janki rozstrzyga ten wyjazd i kilka słów, otrzymanych od Kuniewicza, w których ten zachęca ją do Paryża, nie stawiając przecież żadnego określonego z góry celu wyjazdu.

W Jance przedewszystkiem zbudziło się serce. Pokochała człowieka, a wraz z nim i jego ideały. Odtąd życie przedstawia jej się w nowem świetle, a nadarza jej się sposobność studyowania różnych jego stron, gdyż ojciec, wbrew pierwotnemu planowi, wprowadził ją w świat zabawy i pragnie wydać odpowiednio za mąż, ażeby w jej synu przedłużyć ród Podolskich. Ta zmiana stanowiska dziewczyny, która nastąpiła wskutek nieporozumienia z synem i zerwania z nim stosunków, robi przecież na nią tylko wrażenie odrazy, radaby jednej chwili uciec od tego balowego targowiska. Upokarza ją rola panny na wydaniu, która robić musi dobrą partyę; chwyta też pierwszą sposobność, aby się jej pozbyć i korzystając z tysiąca rubli, które ojciec dał jej na spędzenie karnawału we Lwowie, ucieka do Paryża. Tu dopiero zaczyna się martyrologia, przez którą wyrabia się człowiek. Dziewczę rzucone w odmęt paryzkiego świata, samotne zupełnie traci wkrótce zabraną ze sobą sumkę i zmuszone jest szukać sobie pracy, której uparcie odmawiają niewykwalifikowanej w żadnym zawodzie cudzoziemce. Kuniewicz zjawia się rzadziej jeszcze niż w Warszawie; zrozumiał on, że Janka go kocha, na piękność jej nie jest obojętnym, chwilami podpada zupełnie jej czarowi, ale właśnie budzące się w nim uczucie skłania go do unikania Janki. Ucieka przed nią, gdyż w programie jego życia nie ma miejsca na miłość i stosunek z kobietą, zwłaszcza z kobietą z innej sfery, która, według jego mniemania, spędza życie na zabawie i przyjemnościach. Rozbudził duszę Janki, ale nie przyszło mu nigdy do głowy zastanowić się, czem ona jest teraz, o ile stała się już bratnim i prokrewnym mu duchem.

W taki sposób życie dziewczyny składa się w Paryżu z szeregu zawodów i upokorzeń. Potrzebując pracy snuje się głodna i bez dachu nad głową przez całe dnie; puka do szwalni, magazynów ubrania, do zecerni, wszędzie spotyka ją odmowa lub praca, którą odbierają jej po paru już dniach, albo którą sama rzucać musi, szanując swą godność kobiecą. W tej smutnej wędrówce zstępuje Janka do nizin społecznych Paryża, miesza się z jego mątami, odczuwa współczucie dla najniżej stojących, ale pozostaje równie czystą jak była, nie budzi się w niej żadna myśl niska, żadna nawet zawiść względem tych, którym lepiej się wiedzie. Do Kuniewicza odczuwa również żal tylko za to, że jej nie zrozumiał, że był dla niej twardy

*) Tomów II, Warszawa 1895.

Chciał także przemawiać i był czerwony, przyrzekł mi po uczcie zaraz wrócić do domu. Oby tak było.

Własow pragnął się uspokoić, lecz przeczuwał, że Iwański dzisiaj znowu się upije i najrozmaitsze głupstwa popełni. Cały dzień już był tak usposobiony; ta myśl zaniepokoiła Własowa.

W tej chwili spotkał kilku studentów, którzy ożywioną wiedli rozmowę. Przyjrzał im się. Jednego z rozmawiających znał z widzenia. Powtarzał on ciągle, że coś jest koniecznie, nieodzownie potrzebnem; przekonał się, że student był dobrze podchmielony. Oczy miał błyszczące a w wyrazie jego twarzy było coś zwierzęcego. Nieprzyjemne uczucie ogarnęło Własowa.

— Spijają się, spijają — dumał z goryczą — jak to wstrętne!

Znowu myśl jego zajęła się Iwańskim.

— Gdyby tego święta nie było — ciągnął dalej wątek swych myśli — może Iwański byłby utrzymał się na dobrej drodze. Dzisiaj cały z tego nie wyjdzie. Co za szkoda; jakby się nie można bez tego obyć! Przecież wódka żadnych przyjemności nie daje.

Rozczarowany był. Spodziewał się czegoś lepszego po tym święcie. Uczta nie wydawała mu się teraz tak wspaniałą, czegoś mu brakło. Przypomniał sobie jakiegoś człowieka, którego spotkał na schodach, gdy wychodził z restauracyi. Stał o poręcz oparty, trupioblady, z oczyma mętnemi, mruczał coś pod nosem. Na dywanie przed nim była jakaś czerwona kałuża. Z początku myślał, że to krew, lecz nie, to było wino czerwone z kawałkami niestrawionego śledzia.

— Jakie to wszystko obrzydliwe — wstrząsał się Własow. — A ów smukły student, który z krzesła spadł i czoło sobie rozbił. Co za wstręt!

Wrażenia te wracały stale, gdy myślał o Iwańskim; one mu zaciemniały wesoły obraz uroczystości akademickiej.

— Dużo piją na takim festynie, bredzą od rzeczy, tłuką szkło, które im nic nie zawiniło!

To wszystko wydawało mu się zbytecznem.

Żałował, że te wspomnienia psuły mu piękny obraz, który sobie wytworzył w fantazyi o owym festynie i umyślnie zaczął się pieścić wspomnieniami uprzejmego profesora, który mu tak przypadł do gustu.

— Przecież to od każdego zależy, czy chce, lub nie chce pić — rozważał dalej ku swemu uspokojeniu; — ten kto pije, sam sobie winien, kto nie zna miary, niechaj pokutuje. Ogólne wrażenie jest jednak podniosłe. Naprzykład ci dwaj, którzy po dziesięciu latach się spotkali: jaka to szczera była radość; a jak rozumnie na początku przemawiał Bereszeńko; Nie, jednak było tam pięknie; powstaje łączność, równość i wolność, — powtarzał bezwiednie słowa Iwańskiego.

Był przed domem. Mróz orzeźwił go zupełnie, wesoło przeskakiwał schody. Na mroźnym ganku spotkał „zajączka".

— Są listy?

— Nie ma.

— A był listowy?

— Tak, lecz dla pana nic nie było.

— Szkoda — mruknął Własow smutny; lecz niezadługo wróciło podniesione usposobienie.

— Jak ci się powodzi? zapytał się „zajączka".

— Dziękuję. Czy uroczystość już się zakończyła?

— Tak, przyjacielu. Idę teraz do teatru. Chciałbym zobaczyć „Las" Ostrowskiego.

— „Las"? — powtórzył „zajączek" z rozjaśnioną twarzą — dobra farsa! Widziałem tę sztukę razem z naszym kucharzem; jest on wielkim lubownikiem teatru. Śmiałem się wiele na tem widowisku.

Pomarszczona twarz „zajączka" ułożyła się do zabawnego grymasu.

— Dawno temu ją widziałeś? — zapytał Własow z uśmiechem.

— W przeszłym sezonie.

Uśmiechnął się Własow i podążył do teatru.

i bezwzględny, zapominając, że nietylko chce być kochanką, ale również jest mu siostrą w nędzy i pracy. Kocha go tak silnie, że pomimo uprzedniego zerwania, pomimo postępowania, które nazwaćby można podłem, gdyby podyktowanem nie było przez chęć służenia społeczeństwu, pospiesza na pierwsze wezwanie z jego strony. W najpiękniejszej może z całej powieści scenie autorka przedstawia chwilową harmonię dusz, które po długich udręczeniach zlały się wreszcie w zgodnym akordzie uczucia. Przerywa go ostatni atak płucnej choroby, która rozwijała się oddawna u Kuniewicza, a teraz go zabija. Jankę znaleziono na jego grobie na pół martwą i prawie szaloną z rozpaczy i odwieziono do szpitala obłąkanych. Nie był to przecież obłęd, tylko ostatnie przesilenie od tak dawna napiętych nerwów. Po licznych przygodach, które zaostrzały jeszcze dziwactwa ojca i jego okrucieństwo niemal, żegnamy się z nią wreszcie jako z kobietą szlachetną, wyrobioną przez cierpienie, posiadającą w wysokim stopniu ową filozofię, która każe zapominać o sobie, a żyjąc szczęściem i cierpieniem drugich, zdobyć spokój i równowagę. Autorka usunęła z jej drogi również wszelkie zapory zewnętrzne, a więc ojca, brata i siostrę, która wstąpiła do klasztoru i pozwala nam snuć dalej w wyobraźni nić tych losów, któremi kierować już będzie świadoma, pewna i dobra ręka wyrobionej kobiety-człowieka.

Oto treść dwutomowej powieści p. Zapolskiej. Nie mamy zamiaru poddawać jej krytyce, tem bardziej, że nosi ona wszystkie właściwe jej twórczości cechy, że jest zajmującą i porusza żywo imaginacyą i uczucie czytelnika, który chętnie jej za to wybaczy pewną hyperboliczność stylu i myśli, a nawet karykaturalność niektórych postaci. Dała nam ona próbkę, czem może stać się życie młodej kobiety, gdy porzuci utarte koleje, jak oddziałają na nią nowe wrażenia, jak samodzielność, praca myśli i rozwój uczucia dodatnio wpływają na wykształcenie młodej istoty, ile one dają szczęścia, nawet wśród cierpień i przejść życiowych.

Godnem uwagi jest, że trzy typy kobiece, między któremi nasunęło nam się mimowolne prawie porównanie, chcąc zacząć nowe życie, opuszczają grunt, na którym upłynęło dawniejsze. Jadwiga (w Okowach) porzuca męża, którego szanować przestała i z dziećmi przenosi się do małego miasteczka, gdzie prowadzi pustelnicze niemal życie, oddana wychowaniu dzieci i pracy nad sobą; Madzia (Emancypantki) opuszcza dom rodziców, aby rozpocząć zawód nauczycielski, w którym łamie się z własnym charakterem i z tysiącem przeciwności, wyrastających na jej drodze; dzieje Janki opowiedzieliśmy wyżej. Jakkolwiek w życie każdej z tych trzech kobiet zaplątał się natrętny e r o s, nie działają tu przecież awanturnicze pobudki i przyznać trzeba autorom, że mieli słuszność, dając tło nowych warunków tam, gdzie szło o wyrobienie nowego człowieka. Jeżeli otoczenie znaczny wpływ mieć musi na charakter każdego człowieka, to tem bardziej mieć go będzie, gdy idzie o kobietę splecioną z rodziną silniejszym węzłem tradycyonalnie wytworzonych pojęć o obowiązkach, charakterze i stanowisku jej w społeczeństwie. Jeżeli w dawniejszych czasach młodsze pokolenie kobiet zwykle tak bardzo podobnem było do starszego, jeżeli na tle zmian w pojęciach i postępu świata kobieta stanowi aż dotąd pierwiastek zachowawczy, w znacznej mierze przypisać to trzeba okoliczności, że tyle pokoleń kobiet wychowało się w tych samych warunkach i otoczeniu rodziny, przechodząc z pod opieki ojca lub matki pod opiekę męża, że mało stykają się z ludźmi obcymi, podlegając wciąż tym samym wpływom. Nowe pokolenie kobiet wychować się tedy może tylko w całkiem zmienionych warunkach; walczą one z sobą, walczą z rodziną i opinią o ile pozostają w dawnych i na tę walkę tracą nieraz najlepsze siły.

Drugą cechą wspólną zwłaszcza Emancypantkom i Jance jest pewna idea mistyczno-religijna, która po odrzuceniu dogmatycznej wiary pozostaje przecież w formie dążenia ku idealnemu deizmowi. Madzia ukojenie znajduje w klasztorze, wraca przeto pozornie do punktu, z którego wyszła. Janka nawet pod wpływem pozytywnych przekonań Kuniewicza przechowuje potrzebę wiary na dnie serca i pewien pociąg ku mistycyzmowi, który zdradza przy spotkaniu z francuzkim malarzem. Powieść kończy autorka religijną sentencyą.

Autorowie nasi nie wyobrażają sobie tedy kobiety bez uczuć i dążeń na tle religijnem, ale u nowego pokolenia są one raczej deizmem, kultem opartym na indywidualnych właściwościach, nie na dogmacie, a więc wiarą uszlachetnioną, która nie staje się zaporą do rozwoju, ale przeciwnie jednym z jego czynników.

W rozwoju tego nowego pokolenia kobiet niewątpliwą rolę odgrywa miłość, u Janki jest ona najwyraźniejszą.

P. Zapolska uczyniła z niej istotę pod względem temperamentu biernie-namiętną, oddającą się bezwzględnie uczuciu, zahypnotyzowaną niem prawie. Ale uczucie to na tyle głębokie, że objęło i duchową stronę dziewczyny, pod jego wpływem staje się właściwie rozwiniętą i myślącą kobietą, altruistką żyjącą dla drugich, pracownicą, która sobie chce wszystko zawdzięczać. Czy w rzeczywistości istnieją kobiety, u których taka przewaga temperamentu i uczucia pozwoliłaby przecież samodzielnie rozwinąć się myśli, które namiętność, i to niepodzielona, podnosiłaby zamiast obniżać? Na pytanie to postać Janki odpowiada twierdząco; autorka każe jej przedewszystkiem kochać i dzięki tej miłości zdobywać szlachetne ludzkie przymioty. Zarzucilibyśmy nieprawdopodobieństwo temu założeniu, gdyby nie to, że Janka jest tak młodą i tak bardzo pozbawioną była aż do czasu spotkania z Kuniewiczem wszelkiego promienia, któryby rozświetlił jej drogę, rozgrzał serce, rozbudził umysł, że utożsamiać musi z jego osobą wszelkie pierwiastki życia, które się dla niej od chwili spotkania z nim zaczyna. Że zaś Kuniewicz usuwa się, działa tu nietyle jego wpływ osobisty, ile raczej myśl o nim i jego ideałach, co pozwala dziewczynie rozwinąć się samodzielnie. U Madzi (z Emancypantek) miłość odgrywa drugorzędną raczej rolę. Obraca się ona na gruncie Warszawy, nie jest skazana na tak zupełną samotność jak ta, w której dojrzewa uczucie Janki i wreszcie nie spotyka na drodze swej człowieka, któryby w swej osobie urzeczywistnił również nowy świat myśli i uczuć. Można się spodziewać, że z czasem pokocha idealnego przedstawiciela burżuazyi, Stefana Solskiego, że jej ta miłość da równowagę umysłu i grunt pod nogami, nie może w niej być przecież tego idealizmu, co w miłości Janki dla ubogiego ascetycznego młodzieńca, który sam ukochał nędzę i ideę i należy do przedstawicieli owego pokolenia najmłodszych, nie przynoszących niekiedy konkretnej korzyści dla tego, że za daleko odbiegli od warunków, w jakich żyć muszą.

Janka nosi jeszcze jednę, właściwą sobie tylko cechę, oto jest charakterem tak czystym, że męty życia, których się dotyka, zbrukać jej nie mogą. Autorka bardzo umiejętnie przeprowadza tu rozdział między warunkami życia i samą istotą człowieka, poetyzuje może swą bohaterkę, ale czyni to najprostszemi środkami, przedstawiając duszę tak prostą, iż myśl upadku lub jakiegokolwiek kompromisu nie nasuwa się jej nawet. To samo powiedziećby można o Madzi; trudno o więcej kryształowy charakter od owej emancypantki. I Jadwiga, choć nieco starsza, choć w chwili, gdy się z nią zapoznajemy, przeszła już szkołę życia, jest szlachetną, czystą naturą, daleką od wszelkiego kłamstwa i kompromisów. Bohaterki nowego pokolenia w powieści naszej należą przeto nie do istot niezwykłej inteligencyi, ale do kobiet wysokiej miary moralnej. Świat, pod wpływem którego

---

IV.

W teatrze dawano po Ostrowskiego sztuce lekką komedyjkę. Własow i tej był ciekawy. W międzyakcie poszedł do bufetu, czuł bowiem pragnienie po winie i sutym obiedzie; chciał napić się gruszecznika, przeznaczając na to ostatnią złotówkę w tym dniu. Do domu pójdzie pieszo.

Zeszedł na dół; przed sobą ujrzał dwie eleganckie kobiety, które z papierośnic wydobyły cygarety. Pokój restauracyjny przepełniony był dymem.

— Proszę o butelkę gruszecznika — mówi grzecznie do garsona, który rozlewał w kieliszki wino dla grona otaczających go mężczyzn.

Gdy przyniesiono mu napój, stanął przy stole, nalał musujący płyn do szklanki i właśnie miał zamiar wypić, gdy wpadła do bufetu chmara podchmielonych studentów. Gwarno było w kole studenckiem, a melancholijny głos basowy górował nad innemi:

— Zgubiła się kanalia! A jednak tylko tutaj może być.

Własow poznał Iwańskiego. Przeląkł się mocno. Pierwszą jego myślą było uciec, schować się, zapaść się w ziemię; było jednak za późno.

— Przecież jest! przecież jest! — zawołał Iwański, dziko ucieszony, ujrzawszy kolegę. — Mówiłem, że się schronił w bufetowej sali. Ach kanalio! Piotrusiu! Serdeńko.

Na Własowa spadło to wszystko niespodzianie. Miał uczucie, jakby go w tej chwili ktoś chciał schwycić i krzywdę mu wyrządzić, czuł, że teraz jest zgubionym. Pulsa biły mu w skroniach, przybladł i stał chwil kilka nieprzytomny, nie rozumiejąc, co się wokoło niego dzieje. Iwański był tęgo napiły i taczał się mocno. Surdut miał rozpięty, oczy mu zapadły, kąty ust drgały, a na twarzy jego, z której wystawał długi nos, jako coś zupełnie zbytecznego, rozlany był wyraz głupoty.

— Nie myśl, że jestem pijany, — woła Iwański, — użyłem tylko nieźle, to prawda. Przybyliśmy po ciebie. Mamy tu trójkę, pojedziesz z nami. Nie myśl, że cię zaprowadzimy do jakiej dziury podejrzanej. Sam cię odprawię do domu. Przejedziemy się tylko, przystajesz? Nie myśl tylko, że...

— Ja nic nie myślę — odzywa się wreszcie Własow — nie wrzeszcz tak, nie wypada.

— Nie wypada? — powtarza Iwański — czy ty wiesz, co wypada? — zaczął jeszcze głośniej wrzeszczeć. — Powiedz mi, zkąd ty sobie pozwalasz kryć się i pić gruszecznik? Wielki Boże! wszechmocny Ałłahu! Ta kanalia pije gruszecznik!

Własow nie wiedział, jak się ukryć. Iwański zachowywał się ordynarnie i zwracał ogólną uwagę; na szczęście odezwał się dzwonek, zapowiadający rozpoczęcie sztuki.

Po Iwańskim zbliżyli się kolejno i inni studenci, z których ten i ów był mu znanym; na czele ich był książę F., wysoki, smagły, ciemnej płci i pociągłej twarzy. Własow krótko przedtem się z nim zapoznał, podobał mu się bardzo.

Książę zbliżył się do Własowa i powitał go.

— Przyjaciel wasz cokolwiek wesoły — mówi grzecznie — to minie. Nie troszczcie się o to. — Siadajże! — zwraca się do Iwańskiego. — Chcieliśmy was zabrać na przejażdżkę trójką, bez was ten krzykacz nie chce z nami jechać. Przyjmujecie nasze zaproszenie?

— Ależ przyjmuje — woła Iwański — co tu wiele pytać?!

— Cicho — przerywa książę — siedź lepiej spokojnie, radzę ci.

Iwański zamilkł i posłusznie zasiadł ciężko przy jednym z marmurowych stolików. Głowa jego bezsilnie obwisła, a oczy mu zapadały.

— Pojedziecie z nami? nieprawda? — mówi książę, biorąc Własowa za rękę.

— Dziękuję ślicznie, lecz niezadługo zacyna się sztuka, a ja postanowiłem być rychło w domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tak zwana kobiecość do praktycznych skierowuje się celów, nie ma wpływu na ich wewnętrzną istotę.

Po ukazaniu się „Emancypantek“ Prusa podniosło się wśród naszych kobiet postępowych niezadowolenie, że autor tak niewyraźnej i mało uzbrojonej do życiowej walki istocie jak Madzia każe być przedstawicielką młodego, a raczej najmłodszego pokolenia. Być może, że Janka większą jeszcze wzbudza niechęć. A jednak zarzuty, jakie autorów spotkać tu mogą, nie będą sztuczne. Ani Madzia, ani Janka nie dają wzoru postępowania, ale artystycznie określone, złożone dusze kobiece, podpatrzone w okresie przełomowym — urabiania się. Samo wkroczenie podobnych postaci do powieści, postaci bezwarunkowo dodatnich i obiecujących jako przyszłe kobiety-ludzie i obywatelki, jest już objawem, świadczącym o postępach naszej sprawy kobiecej. Nowe prądy skłaniają nietylko do obrania zawodu, do nauki, do pracy, ale przeobrażają duszę, dają jej siłę i świadomość własnej istoty, to ważniejsze niż wzór do naśladownictwa.

Dr. Z. Daszyńska.

BADANIA NAUKOWE.

Kryminalistyka polityczna.

(Dokończenie.)

Godne wielkiej uwagi są słowa Proala o wpływie pisarzy na umysły ludzkie. Odpowiedzialność pisarzy jest zaiste straszną, jakkolwiek sami oni wolą mniemać, że ich doktryny nie wpływają na czyny ludzkie; tymczasem sofizmat pisarski częstokroć więcej szkodzi ludzkości, niż samo przestępstwo. Zanim przewrotne pojęcia o rodzinie, religii i społeczeństwie przedostały się do szerszych mas ludu, wylęgły się one w dziełach pisarzy. Umysły młode lub mało wykształcone chwytają w lot nęcące idee i wprowadzają je w życie. Proal badał raz oskarzonego o fabrykacyę bomb młodzieńca, który się odznaczał pracowitością, oszczędnością i dobrem prowadzeniem się: jedyna rzecz, która go zgubiła — był to sofizmat. Pokój jego znaleziono zapełniony broszurami i dziennikami anarchistycznemi, one to zawróciły mu głowę. Trzeba pamiętać, że istnieją nietylko fizyczne trucizny, lecz i umysłowe, oraz że są idee, które przyrównać można do materyi wybuchowych; biada ludowi, którego umysł przeładowuje się niemi! Anarchizm polityczny wypływa z anarchizmu moralnego, który jest wynikiem anarchizmu umysłowego. Dla tego zadaniem każdego dobrze myślącego człowieka jest zbijać przy każdej sposobności fałszywe teorye społeczne — kto bowiem tego nie robi, staje się niejako współwinnym ich skutków. Propagandzie złego trzeba przeciwstawić pojęcie dobra; sofizmatów nie trzeba pozostawiać bez protestu. Ludzie, stojący u szczytu, mają przedewszystkiem obowiązek podawania dobrych przykładów, jeżeli pragną na ulicach i w umysłach przywrócić spokój. Skandale parlamentarne, nieuczciwe zdobywanie fortun, sprzedajność polityczna powinny ustać; w ten sposób osłabiony zostanie anarchizm.

Osobny rozdział poświęca Proal w swej książce „nienawiściom politycznym“. Według Bossueta, Bóg w sercu człowieka umieścił dobroć, jakby świadcząc przez to o naszem podobieństwie do Niego. Ażaliż to prawda? — woła Proal, wyliczając wszelkie nienawiści ludzkie: teologiczne, narodowe, socyalne, stanowe, rasowe itd. Wilk nie pożera wilka, ale ludzie się pożerają wzajemnie. Podczas wojen peloponeskich Ateńczycy oświadczyli obywatelom wyspy Melos, którzy chcieli się wyłamać z pod ich władzy: „o sprawiedliwości mówić mogą tylko równie silne strony“. Zasada ta, jak czerwona nić, wije się przez wszystkie dzieje; zabija ona całe rasy. Nienawiści socyalne zabijają szlachetny patryotyzm, nienawiści partyjne zabijają ład w państwie. Gdy przeciwnik ma siłę, wówczas go spotwarzają i szkalują; strona silniejsza katuje słabszą z tem większem szaleństwem, że kat nie zna przebaczenia. Rewolucya francuzka podszczuwała przeciwko swoim nieprzyjaciołom i ofiarom pijane tłuszcze. „La canaille est à nos ordres!“ — przechwalał się publicznie Danton. Tłuszcze zaś mordują i niszczą wszystko bez namysłu. Bezeceństwa rewolucyi przypisuje Proal apatyi ludzi uczciwych i z żalem zauważa, że energia ich i dzisiaj słabnie w miarę rozzuchwalenia się wrogów społeczeństwa.

Z kolei przechodzi autor do hypokryzyi, czyli obłudy politycznej. Ludzie, żądni władzy i stojący u jej szczytu, udają zawsze, że są zacni i sprawiedliwi, rozczulają się nad nieszczęściami bliźnich, wykazują zdwojoną pobożność: wszystko to jednak jest przybraną maską. Dzieje nie znają chyba większego hypokryty nad Robespierra albo Cromwella, który ze łzami w oczach i cytatami z Pisma św. na ustach zapewniał, że władza mu cięży, i że wolałby pasać na wsi baranki. Podobnież i narody zwycięzkie uprawiają *en masse* obłudę polityczną, przekładając przy każdej sposobności innym, że działają dla ich szczęścia. Demagogowie uroczyście twierdzą, że mają na celu jedynie dobro ludu. Hypokryzya wypływa z poczucia obawy przed zemstą ludu; obawa też czyni hypokrytów okrutnymi. Zdarzają się chwile, że ludzie uczciwi wolą wyć razem z wilkami, niż wystąpić przeciwko nim — o tem hypokryci dobrze wiedzą. Zbadawszy nastrój tłumów, umieją oni doskonale je oszukiwać; przywódzcy ruchu socyalnego występują jako najczulsi przyjaciele nieszczęśliwego ludu, ale w istocie są jego uwodzicielami. W Paryżu, jak ongi w Atenach, najpopularniejsi obrońcy ludu są zarazem najprzewrotniejszymi ignorantami. Dla ogłupienia ludu posługują się oni propagandą niewiary i nieokiełznanej wolności, jakkolwiek chodzi im tylko o własną wolność; dla dobra publicznego głoszą potrzebę rewolucyi, owego „dobroczynnego szatana“ ludzkości. Tymczasem demagogowie, którzy krzyczą tak wiele przeciwko tyranii, są może najgorszymi tyranami dla omamionego ludu.

W dalszym ciągu rozważa Proal innego rodzaju przestępstwa polityki, t. zw. „grabieże polityczne“. Starożytni, którzy gardzili pracą fizyczną, zdobywali potrzebne rzeczy, ograbiając zwyciężonych. Rzymianie zrobili z wojny środek wzbogacenia się; dowódcy ustawicznie podniecali żołnierzy obietnicami łupu. Zwyczaj grabienia zwyciężonych ludów trwał do ostatnich czasów. Zabierają im zboże, bydło, ziemię rolną, nawet biblioteki, zbiory muzealne i chełpią się z tego. Angielscy królowie bez skrupułu odbierali Irlandczykom ziemię i oddawali ją w posiadanie swoim lordom. Konfiskaty są dziś jeszcze na porządku dziennym; ale niemasz dla nich żadnego usprawiedliwienia, bo ze stanowiska moralnego są to najpospolitsze grabieże. Ci, którzy się dorwali do władzy, każą sobie za to płacić bajeczne sumy ze skarbu; ci, którzy podczas rewolucyi gardłują za prawami czło-

---

HELENA CEYSINGER.

RYCERZE.

— A ty, Jasiek, codzień ich widzisz?

— Codzień, nie codzień. Najwięcej o zachodzie słońca. Czasem se jadą powoli, cichutko, i przejadą, i już. A kiedyści znowu to lecieli, ino ziemia drżała, ino szum szedł wielki jak po drzewach w lesie, ino chorągwie migały...

— Jasiek, ja tu z tobą zostanę do wieczora, ty mi ich pokażesz, dobrze? — zawołałem szaloną ciekawością opanowany.

— A niech się panicz zostanie. Żeby ino wyjechali dziś na pole...

Przed nami ciągnęła się rozległa równina, płaska, monotonna, melancholijna, jak step, tonąca cała w lekkiej mgle, złotawej od promieni jesiennego słońca. Na krańcu płaszczyzny siniał las. Z niego wedle opowiadania Jaśka wyjeżdżali rycerze, i ginęli w przeciwległej puszczy. Nie od niego usłyszałem o nich po raz pierwszy. Legenda to była miejscowa. Kiedyś, dwieście lat temu podobno, w lesie tym pokazać się miały komuś duchy poległych wojowników. Na pamiątkę tego cudu ustanowiono nawet odpust w naszej parafii. Odtąd corocznie z całej okolicy schodzili się ludzie na „Rycerzy“ do kościoła, ale ich samych nikt więcej nie widział i nie słyszał o nich nikt. Niańki chyba tylko bajały o nich dzieciom, by je prędzej ukołysać do snu. I ja też od piastunki mojej dowiedziałem się niegdyś o tych tajemniczych rycerzach, a potem Jasiek oczarował mi wyobraźnię opowiadaniem, że ich widuje jak żywych, na koniach pędzących przez pole. Jaśkowi wierzyłem bezwarunkowo. I teraz leżąc obok niego, i patrząc na gromadkę owiec skubiących trawę po rżysku, jedną tylko miałem obawę, czy oni aby wyjadą dziś na pole?

Słońce chyliło się coraz bardziej ku zachodowi, w powietrzu cisza była niezmącona. Jasiek w postawie półsiedzącej, klęczącej na pół, z nogami podwiniętemi pod siebie, plótł kapelusz z różnobarwnej słomy. Długie, płowe włosy spadały mu na czoło; odkrytą głowę paliły gorące jeszcze promienie słońca, ale on zdawał się nie czuć tego.

Chwile oczekiwania dłużyć mi się zaczynały.

— No Jasiek, prędko oni się pokażą? — spytałem szeptem.

— Pewnikiem niedługo już. Burek tu, do nogi!

Pies przybiegał posłuszny i kładł się koło swego pana, a ja wysyłałem znów ciekawy wzrok w omgloną, choć świetlistą dal, i czekałem cierpliwie.

Nareszcie namiętne pragnienie ujrzenia cudownych rycerzy tak wzmogło się we mnie, że byłem gotów pół życia dać za to, by raz już przecie wysunęli się z tego czarnego lasu. Co chwila też rzucałem na Jaśka niespokojne, pytające spojrzenie, ale on siedział z głową spuszczoną, milczący, zajęty swoją robotą.

Naraz zatrząsł się całem ciałem i takim dziwnym wzrokiem spojrzał przed siebie, że dreszcz przeszedł mnie od stóp do głów.

— Jadą paniczu, jadą! — wołał pochylony naprzód, z szeroko otwartemi oczami.

Burek się zerwał w tej chwili i najeżywszy grzbiet, ze łbem zwróconym w tym samym kierunku, w którym Jasiek rękę wyciągał, szczekał gwałtownie.

— Jadą, jadą — powtarzał wciąż chłopak — rycerz wielgi, pod niebo, jeden, drugi... ilu ich tam! O Jezu, Jezu! A jak ten wicher rwą! Wojsko całe wali za nimi, aż ziemia dudni... Jakie blachy złociste, jakie chorągwie mają wielgie... A szumi, Jezus, Marya!

Umilkł, opuścił ręce, i zamknął oczy, a w tej chwili i Burek zawył przeciągle.

— Przejechali już? — spytałem Jaśka.

— Już, już paniczu.

Co do mnie nie widziałem nic zgoła.

— Paniczu! Edwardku! — rozległo się naraz z dwóch stron wołanie.

To mnie szukano. Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem w stronę parku, zkąd dochodziły mnie znajome głosy. Przy płocie ujrzałem lokaja, Jakóba.

— A czemu to panicz tak daleko odchodzi i tak długo nie wraca? — gderał na mnie stary, — pan guwerner już od godziny szuka na wszystkie strony.

Wziął mnie za rękę i spiesznym krokiem ruszyliśmy przez na pół mroczne już aleje parku ku domowi.

— Jakóbie, mój kochany Jakóbie — pytałem, biegnąc prawie obok niego, dla czego ten Jasiek widzi rycerzy, a ja nie?

— Co panicz wygaduje? Jakich rycerzy?

wieka, nie wahają się grabić wszystkiego, co należy do „bogatych“. Dziś mamy grabieże finansowe, odbywające się pod egidą polityki. Podobnie, jak niegdyś dworacy uprawiali systematyczną grabież, teraz uprawiają ją politycy w postaci operacyi finansowych. Podczas, gdy rolnik musi dla wyżywienia siebie ciężko pracować, politycy z łatwością zdobywają ogromne fortuny przez kłamstwa, sofizmaty, kalumnie i niezdrowe teorye. Dworacy sprzedawali miejsca: oni sprzedają koncesye i monopole. Ztąd olbrzymie oszustwa, tak, iż słusznie możnaby przytoczyć słowa Biblii: „kupcy twoi stali się panami ziemi; książęta wasi — wspólnikami złodziei“. Krach r. 1882 kosztował pracowitą i oszczędną ludność Francyi kilka miliardów franków. Prasa jest na usługach grabicieli społecznych; służą im ministrowie, posłowie, senatorowie. Mylnie jednak sądzi socyalizm, że nowa rewolucya położy kres tej orgii: rewolucya wszelka byłaby tylko nową straszną grabieżą. Droga jest jedna: wytrwała praca, podniesienie moralności, surowy i sprawiedliwy sąd nad przestępcami.

Ostatnie rozdziały swej książki Proal poświęca korupcyi, uwzględniając z osobna korupcyę mężów stanu, korupcyę wyborców, korupcyę prawodawstwa, sprawiedliwości i obyczajów społecznych. Są to duże rozdziały, opatrzone licznemi cytatami. Spotykamy w nich częstokroć głębokie myśli, świadczące o wielkiem poczuciu prawd duchowych u autora. „Niezmiernie trudniej — powiada on — wywołać rewolucyę moralną, niż polityczną: łatwiej jest zmieniać rządy, niż sumienia“. Przytaczając dzieje korupcyi politycznej we Francyi, Proal robi uwagę, że rządy restauracyi i Ludwika-Filipa odznaczały się mniejszem zepsuciem pod tym względem, niż republikańskie.

Wybory i głosowanie ludu zdawały się niedostępnymi dla korupcyi: jednakże czasy obecne przekonywują, że nawet głosowanie powszechne stało się pospolitem narzędziem w ręku ambitnych polityków. Stronnictwa rządzące wywierają wszelki możliwy nacisk na głosujących; gminom przyrzekają zapomogi i roboty publiczne, urzędnikom — awanse, wpływowym jednostkom — ordery: niepodległych wyborców szykanuje i popycha władza administracyjna. Kandydaci na przedstawicieli ludu kadzą mu pochlebstwami i otaczają się osobistościami, które ich mowom przyklaskują za zapłatę. Dziś dostatecznem jest pięknie mówić, aby się wynieść nad tłum; należy tylko przyrzekać wyborcom jak najwięcej pięknych zmian, chociażby wiadomem było, że to są rzeczy niewykonalne. Dochodzi do tego, że przy urnach wyborczych popełniane są pospolite oszukaństwa w postaci fałszywego obliczania głosów. Proal znowu zwraca się do uczciwych ludzi wszystkich stronnictw i zaleca im, aby się usilnie starali o zapobieżenie hypokryzyi wyborczej. Obojętność polityczna jest w danym razie grzechem nie do darowania.

Przewrotność polityczna skoszlawiła nawet prawodawstwo i sądy. Powołane do bronienia swobody i własności obywatelskiej ciała prawodawcze stały się w ręku polityków środkiem do gnębienia przeciwników. Politycy uczynili je areną walk stronniczych; łatwo przytem znaleźć uczonych prawników, którzy gotowi są uzasadnić najbardziej niesprawiedliwe postanowienia. W parlamentach wysuwają się na pierwszy plan krasomówcy, adwokaci i profesorowie, to jest ludzie słowa, podczas gdy ludzie myśli i czynu zostają w cieniu. Trzeba wprawdzie mówić dobrze; ale nie potrzeba żadnych młynów i cymbałów krasomówstwa, rozlegających się z trybun sejmowych. Projekty prawodawcze przychodzą pod obrady bez należytego wystudyowania — zjawisko dziś powszechne na zachodzie.

Najstraszliwsze wszakże skutki nieuczciwej polityki objawiają się w korupcyi sądów i spaczeniu ich zadania moralnego. Stronnictwa rządzące zwykle ustanawiają wyjątkowe sądy polityczne, aby tem skuteczniej gnębić przeciwników. Senat rzymski za Cezarów, sądy angielskie za Cromwella, trybunały francuzkie w epoce wielkiej rewolucyi — były to narzędzia nienawiści. Napoleon I, w procesie księcia d'Enghien, wyznaczył komisyę, złożoną wyłącznie z wojskowych, którzy pogwałcili wszystkie przepisy sądownicze, gdyż Napoleon z góry skazał księcia na śmierć. Polityka miesza się nawet do najzwyklejszych czynności urzędniczych; urzędnik staje się narzędziem w jej ręku i musi wyrzec się swej indywidualności; dbają o to, aby był dobrym wykonawcą rozkazów, lecz nie dbają wcale o to, aby był dobrym człowiekiem, odpowiedzialnym samoistnie za swe czyny.

Autor zauważa, że duch narodów urabia się podług ducha rządów. Gdzie rząd jest zły, tam naród staje się podejrzliwym i trwożnym; natomiast istnienie dobrych rządów umoralnia ludzi. Ciągła zmiana rządów powoduje sceptycyzm i budzi instynkta rewolucyjne, zmuszając do kupczenia przekonaniami. Każda zmiana rządu pociąga za sobą powstawanie i upadanie dużych fortun, co dla pracowitej ludności jest ciosem. Gdy rząd zaczyna się chwiać, wówczas wszyscy ambitni i wykolejeni rzucają się w wiry walki politycznej, aby coś dla siebie wyłowić; ztąd wypływa brak zamiłowania do czynnej osobistej pracy; poważni działacze społeczni zostają na uboczu i nie wpływają na bieg spraw. Mali tyrankowie w gminach i okręgach miejskich wkładają na lud jarzmo moralne; władza wykonawcza słabnie, oczy wszystkich zwrócone są na krasomówców i deputowanych. Zepsucie obyczajów publicznych staje się wówczas powszechnem.

Aby wyrwać społeczeństwo z tego stanu, potrzeba wielkiej siły moralnej, której nie da ani ateizm, ani sama tylko wiedza. Siła ta leży dla Europy w chrześciańskiem: wszak ono wprowadziło w życie święte zasady, z których wypływa poczucie wolności osobistej, równości i braterstwa; ono bezustannie głosi, że trzeba się starać o doskonałość wewnętrzną. Materyalizm zasady te spaczył i w imię braterstwa pławił we krwi tysiące ludzi, zupełnie niewinnych z punktu widzenia moralnego. Oto dla czego występne rządy i obłudni politycy twierdzą, iż chrześcijaństwo jest wrogiem społeczeństwa.

W końcowym ustępie Proal streszcza swoje własne sądy, które zresztą poznaliśmy już w poprzednich rozdziałach. Ponieważ dziś lubią wszystko, co nowe, to czemuż nie może odegrać rolę takiej nowości polityka moralna? Dla czegoż nie mamy uznać, że w życiu publicznem, jak i prywatnem uczciwość jest największą cnotą? W panującej obecnie teoryi Machiavela więcej jest niemoralności, niż głębokości sądu; polityka machiavelistyczna nie potrzebuje geniuszów. Polityka powinna nietylko dążyć do porządku i dobrobytu, lecz powinna także dbać o moralne wychowanie ludów. Sceptycyzm i materyalizm zaciemniły istotne zadanie polityki, ztąd powstały wszelkie polityczne pozytywizmy, nihilizmy, anarchizmy. W stosunkach międzynarodowych powinna również panować moralność; przypuszczać można, że wojny z postępem prawdziwej cywilizacyi będą się stawały coraz rzadszemi. Moraliści powinni zwalczać wszelkie sofizmaty polityczne i wpajać w bliźnich przekonanie, że nie masz żadnej podwójnej moralności, że cel nie uświęca

---

— Nawet Burek ich widzi, jak jadą tam przez pole, a ja nie...

— Co on tam Edwardkowi baje, a Edwardek słucha i wierzy wszystkiemu! — oburknął się stary. — Ot dobrze, że znalazłem, bo pan już wraca, to znowu byłby hałas, że panicza niema przy kolacyi. No proszę teraz iść prosto do stołowego pokoju.

* * *

Od chwil tych ubiegło lat kilkanaście. Płaszczyzny bezbrzeżne, dalekie puszcze czarne, cały ten jasny świat mego dzieciństwa wraz z cudownemi legendami i Jaśkiem-wizyonerem poszedł w zapomnienie.

Byłem w Berlinie na kursach, kończyłem rok dwudziesty pierwszy i przygotowywałem się do objęcia dziedzicznych majątków, ojciec mój bowiem umarł przed kilku laty, a matka idealistka trochę i marzycielka nie umiała praktyczną stroną życia kierować. Nie dziw, że pod jej zarządem nasze sprawy finansowe, przedtem już zagmatwane nieco, powikłały się do tego stopnia, że jak w ostatnim liście pisała mi matka, można było po stanowczej likwidacyi spodziewać się w najlepszym razie ocalenia niewielkiej tylko sumy, która podzielona między troje rodzeństwa i matkę, nie zapewniłaby żadnemu z nas takiego stanowiska w świecie, na jakie przywykliśmy liczyć od dzieciństwa.

Byłoby to okropne dla mnie, gdybym podzielał był obawy wyrażone w tym liście. Domyślałem się jednak, że matka fałszywie ocenia położenie i w zbyt czarnych maluje je barwach. Byłem przekonany, że gdy raz męzka ręka ujmie ster interesów, rzeczy inny zupełnie obrót przybiorą. Przytem przed kilkoma dniami właśnie otrzymałem świetną propozycyę od sąsiada naszego, barona von Walterskirchen, którego dom był jednym z najprzyjemniejszych w Berlinie i gdzie byłem częstym i szczególnie uprzejmie przyjmowanym gościem.

Baron kupił przed niedawnym czasem niewielki majątek w naszem sąsiedztwie, ale nie odpowiadało to widać jeszcze jego wymaganiom, bo kiedyś zabrawszy mnie do swego gabinetu, przy likierach i czarnej kawie wyjawił mi życzenie nabycia pewnej części lub całości naszych dóbr.

Przypuszczalna cena, którą wymienił wtedy, tak dalece przewyższała najśmielsze oczekiwania matki, że uśmiechałem się mimowoli, czytając jej rozpaczliwy list. Sprzedam Olszowę ze wszystkiemi przyległościami baronowi i przetnę kwestyę jednem cięciem — myślałem. Wówczas jednak nie dałem baronowi żadnej stanowczej odpowiedzi, tłomacząc się koniecznością porozumienia z rodziną i zapoznania ze stanem interesów. Przyznał mi zupełną słuszność, nie nalegał, wyraził tylko nadzieję, że na wsi, dokąd zamierzał z całym domem wyjechać, stosunki nasze zacieśnią się jeszcze bardziej, a może i interes da doprowadzić do końca. Baron miał dwie prześliczne córki i piękniejszą od nich synowicę, która po matce, Hiszpance, odziedziczyła najpiękniejsze oczy czarne, jakie widziałem w życiu, a po swoich babkach germańskich kaskadę jasno-blond włosów. Od kilku miesięcy zostawałem pod urokiem pięknej panny, to też nadzieja częstych i poufałych stosunków sąsiedzkich, czyniła mnie niewymownie szczęśliwym. Z biciem serca oczekiwałem chwili wyjazdu na wieś i już sama radość z tego niespodziewanego zbliżenia nie pozwalała mi brać do serca trwożnych przeczuć matki.

Nareszcie znalazłem się w Olszowej i kiedy przyszło do rozmowy o interesach, wystąpiłem tryumfujący z propozycyą barona, sądząc, że tym sposobem rozjaśnię natychmiast stroskaną twarz mojej matki. Tymczasem wbrew wszelkim oczekiwaniom trafiłem na opór, który wydał mi się wprost niezrozumiałym. Matka nie chciała sprzedać Olszowej, a zwłaszcza nie chciała sprzedać jej baronowi. Przyszło między nami do głębszej, poważniejszej rozmowy i ku zdumieniu mojemu dowiedziałem się, że dobra, łagodna matka nasza pod powłoką słodyczy i marzycielstwa żywi mnóstwo najosobliwszych niechęci i uprzedzeń, które wydały mi się wprost anachronizmem, dziwactwem jakiemś zabawnem, dziecinnem nawet, a niewłaściwem zupełnie dla osoby na jej stanowisku.

Z sióstr moich, starszych odemnie o lat parę, jedna nie miała zupełnie własnego zdania, druga popierała idee matki z wielką żywością i zapałem. Byłem sam wobec nich.

Matkę kochałem szczerze i serdecznie, ale na tym punkcie zrozumieć jej nie mogłem. Rzeczy pozostały tedy w zawieszeniu, a ja żywiąc tajemną nadzieję, że okoliczności same niezadługo przyjdą mi z pomocą, nalegać już tylko zacząłem o zawiązanie stosunków sąsiedzkich z Leśną (tak nazywał się majątek barona). Ale i tu spotkałem się z antypatyą zupełnie nieuzasadnioną.

Baron z córkami jeszcze przed mojem przybyciem złożył wizytę w Olszowej, a moje

środków, że najwyższem prawem jest sprawiedliwość, że racya stanu jest zaprzeczeniem racyi, że rządzić trzeba, jednocząc, nie zaś dzieląc; że prawo silnego jest raczej prawem wilków, niż ludzi itd. Podobnie, jak wiedza bez sumienia jest, podług Rabelaisa, ruiną dusz, tak też i polityka bez moralności, zdaniem Proala, jest ruiną społeczeństw.

St. Hł.

Z estrady i sceny.

(Nowe siły w „Mazepie".)

Dziwnych wrażeń doznawałem chwilowo na wtorkowem przedstawieniu, — pierwszym znaku życia nowego sezonu. Zdaje mi się, że podobne uczucia budzić się muszą w pedagogu, który legią wychowańców swoich z maturą w ręku wysłał w świat daleki i widzi przed sobą nowych młodzieniaszków wstępujących nieśmiało do przybytku wiedzy, zkąd po latach kilku z patentem w kieszeni znów między obcych ludzi, do obcych grodów ulecą. Nie od dzisiaj to teatr poznański zjednał sobie miano szkoły dramatycznej; bywają w tym teatrze chwile, w których przed publicznością staje materyał zupełnie surowy, gdzie wszystko rwie się i haczy, gdzie lekcya płynie nieśmiało z grymasami ambarasu na twarzy i z nieznośną muzyką fałszywych form i akcentów. To pierwszy rok nauki, pierwsze kroki niewprawnych studentów. Lecz lata płyną, egzamin dojrzałości się zbliża i ta garstka szkolarzy staje przed nami coraz śmielsza, coraz więcej uszlachetniona, coraz bliższa patentu. Wtedy to szkoła dramatyczna zamienia się nieomal w teatr, wtedy to scena poznańska miewa momenty względnej przynajmniej świetności i staje na wyżynach sztuki. Dwa takie okresy wielu z nas w świeżej jeszcze zachowuje pamięci, — obecnie wstępujemy w okres nowy i nowych witamy wychowańców.

Żal mi ubiegłego sezonu. Wykarmiliśmy sobie kilka talentów prawdziwych, uzbroiliśmy w rutynę kilka sił pożytecznych i to wszystko gdzieś się rozproszyło na cztery strony świata. Żałuję w pierwszym rzędzie Sosnowskiego, bo były tam takie iskry i ognie, jakie na scenach polskich gdzieniegdzie tylko się palą, — żałuję Trapszów, panny Zimajer i p. Rapackiego, bo tworzyli nieraz ensemble koncertowy, u nas dojrzewali, u nas wyszlachetnili zdolności swoje, — żal mi i p. Wróblewskiej, bo lubo jest to talent o wązkiej oktawie, ale artystka ta nabyła przynajmniej surogat talentu: niepospolitą rutynę. Na tem wspomnieniu zamykam akta przeszłości i wracam do wtorkowego przedstawienia.

Sformułowanie sądu o nowych siłach z jednego występu jest z dwóch powodów i trudnem i ryzykownem zadaniem. Stawać przed cudzą, często do dawnych artystów przywiązaną a więc do nowych uprzedzoną publicznością, ruszać się na scenie obcej, wśród obcych kątów, kulis i sprzętów, mówić wreszcie wśród warunków nieznanej akustyki, to więzy pętające swobodę gry, przyczyna wielu wrażeń fałszywych płynących ku nam ze sceny. Nadto krytyk liczyć się musi z jedną jeszcze ewentualnością, powodującą nieraz sąd błędny o nowych siłach scenicznych. Każdy z artystów bowiem przynosi z sobą w świat kulis jednę lub kilka ról wystudyowanych mozolnie pod okiem mistrzów. Wszystko tam jest produktem szkolnej gimnastyki, obejmującej ciasny obszar nielicznych kreacyi, wszystko jest naśladownictwem lub dokładną tresurą. Ztąd zdarza się nieraz, że „nowa siła" błyśnie na scenie w tej lub owej roli pozornem mistrzostwem, ale jest to tryumf krótki, zwykle tylko jednorazowy. Z tą samą chwilą bowiem, gdy z sceny schodzi wyćwiczona pod komendą profesora rola i artysta tworzyć musi samoistnie, — występuje na jaw niejednokrotnie zupełna bezsiła i w dym się rozwiewa złudzenie talentu. O talencie rozstrzygać może tylko oryginalne tworzenie i dla tego zapatrzonemu w pierwszy debiut artysty krytykowi zapominać nie wolno nigdy, że mistrzostwo bywa często pozorem, że dopiero kilka prób ogniowych sąd wydać pozwala stanowczy o zasobach artyzmu właściwych debiutantowi.

Lękam się, czy wtorkowy Mazepa, p. *Wostrowski*, nie jest taką łapką dla recenzentów i publiczności. Gra jego — pomijając kilka błędnych akcentów — zdradzała od początku do końca prawdziwie artystyczne wykończenie. Była tam i fantazya kozacka i swoboda syna szerokiego stepu i rycerskość butna i jakaś słoneczność półdziecięca rozgrzesząjąca winy Donżuana. I było tam więcej jeszcze. Ten Mazepa wtorkowy mienił się jak turnie tatrzańskie w mgieł lotnych opończy.

Cała gama tonów tej kreacyi dramatycznej dźwięczała czysto, bez fałszu i ambarasu. Grał jak skrzypek wprawny, którego smyczek łączy z przedziwną łatwością różnorodność dźwięków, przechodzi z aksamitu melodyi w pląs żywy i lotny, z pieściwej nuty w akord rozgłośny i szeroki lub grom. Nigdzie nie widziałem chwiejności, nigdzie lęku debiutanta, i dla tego właśnie ta rola budzi we mnie podejrzenia pewne. Pan Wostrowski jest podobno uczniem Kwiecińskiego, jednego z najlepszych reżyserów i kierowników teatralnych. Opowiadano o nim, że urabiał nieraz miesiącami całemi artystę, a gdy na generalnej próbie jeden ton fałszywy uchwycił, usuwał sztukę z repertuaru i nową rozpoczynał tresurę. Każdy z uczniów tej szkoły posiada zatem pewną ilość ról wyrzeźbionych ręką Kwiecińskiego, — a ta przerażająca u początkującego artysty pewność i dokładność, którą objawiła gra wtorkowego Mazepy, nasuwa pytanie, czy tryumf p. Wostrowskiego nie jest produktem mozolnej pedagogii, zastosowanej do jednej, wyjątkowej roli, — czy ten artysta z Mazepy nie okaże się debiutantem tam, gdzie zmuszonym będzie tworzyć oryginalnie.

Wręcz odmienne wrażenie wywarła nowa bohaterka sceny poznańskiej p. *Paszkowska*. Każdy ruch, każde drgnienie fizyognomii tej młodej artystki mówiły wyraźnie, że to ptak, któremu jeszcze skrzydła do lotu nie urosły. Panna Paszkowska była cała jak żywy ambaras na scenie. Oczy jej błyszczały niespokojnie, ręce szukały z nerwową trwogą właściwej pozycyi, figura właściwego układu. I w słowach drgała chwilami ta nuta, o której ludzie mówią, że coś gardło ściska; czasami słowa biegły zdyszane, czasem coś uwięzło w ustach, czasem jakiś dźwięk nienaturalny lub mimowoli stłumiony zabrzmiał na scenie, — a mimo to nad grą tą surową i twardą lśni wróżba jasnej przyszłości. Znam mało artystek posiadających tak wyjątkowo szczęśliwe warunki zewnętrzne: Kształty rzadkiej piękności, oczy pełne wyrazu i głos altowy o brzmieniu pełnem i silnem, — rysy tylko trochę nieruchome, jakby zamarzłe.

O ile mi się zdaje, posiada nadto p. Paszkowska prawdziwy temperament dramatyczny. W grze jej było kilka momentów — mówię tu mianowicie o scenie więziennej — w których artystka zapominała o lornetkach, wycelowanych w „nową bohaterkę", i porwana rolą wyrzucała potoki słów z takiem uniesieniem i przejęciem, że publiczność czuła krew kipiącą w jej żyłach. Tych dźwięków szczerych usłyszymy z czasem

---

panie dotąd nie mogły zdecydować się na oddanie im odwiedzin. Zabolało mnie to do żywego, oburzyło nawet. Nie dziw! Jasne włosy i czarne oczy Emmy Mercedes magnetycznym urokiem ciągnęły mnie ku sobie.

Okoliczności, na których pomoc liczyłem tak wiele, niedługo kazały czekać na siebie.

Dzień po dniu spadały na nas ciosy dotkliwe w formie mniej lub więcej grzecznych listów z prośbą o zwrot sum hipotecznych, pozwów, zawiadomień urzędowych i t. p. Fortuna nasza po jakiejś fatalnej pochyłości staczała się widocznie bardzo szybko ku ostatecznej ruinie.

Zauważyłem, że każdy otrzymany list, każdy papier z urzędową pieczęcią wywoływały na usta matki przykre, nerwowe drżenie. Codzień też pogłębiały się cienie pod jej smutnemi oczami i wyraźniej zarysowywała zmarszczka na bladem, niegdyś tak pięknem czole. Milczała jednak, ale chwilami spotykałem w oczach jej wyraz śmiertelnego niepokoju i ciężkiej, duchowej rozterki. Ja milczałem również, nie dotykając ani jednem słowem tak stanowczo odrzuconej propozycyi barona. Starsza siostra chodziła między nami z podniesionem czołem, zbuntowana wyraźnie tak przeciw spokojnej obojętności mojej, jak i przeciw bezradnemu smutkowi matki. Młodsza, zalękniona, niepojmująca dobrze, o co chodzi, nie śmiała ani jednem słowem przerwać panującej między nami ciszy. I tak rodzinna atmosfera nasza stawała się coraz cięższą.

Nareszcie, gdy chwila wydała mi się odpowiednią, napomknąłem niby od niechcenia, że ze względu na piękną, stałą pogodę dobrze byłoby może złożyć w tych dniach wizytę w Leśnej. Na to matka spuściła oczy i coś jakby rumieniec wstydu przemknął po jej zmęczonej twarzy, ale odpowiedziała cichym głosem:

— Dobrze, dziś po południu możemy jechać.

Siostry milczały obydwie.

W kilka godzin potem wyświeżony, modny stałem przed wielkiem zwierciadłem w salonie, pokręcając czarny wąsik, który w tym roku właśnie bujniej jakoś porastać mi zaczął. Krótki przegląd całej mojej postaci zadowolnił mnie w zupełności. Wydałem się sobie bardzo przystojnym chłopcem. Z Emmą stanowilibyśmy cudownie dobraną parę, uśmiechnęła mi się myśl. I natychmiast zacząłem wyobrażać sobie obok siebie siostrzenicę barona, wysmukłą, śnieżną, z dumnie podniesioną główką, z falą jasnych włosów spływającą ku ziemi. Wyobraźnia moja pokazała mi ją jak żywą. Rozmarzony przymknąłem oczy i uczułem nagle, że te złote włosy owijają mi się koło szyi, dotykają mnie, pieszczą... Zrobiło mi się gorąco, potem dreszcz dziwny przeszedł od stóp do głów, drgnąłem, otworzyłem oczy...

Emmy nie było. Za to w głębi zwierciadła, z poza portyery zdobiącej drzwi sąsiedniego gabinetu, wychylała się inna twarzyczka kobieca. Starsza siostra moja spoglądała na mnie z jakimś drwiącym, pogardliwym uśmiechem na ustach. Obrażony odwróciłem głowę, ale naprawdę nie zobaczyłem nic. Tylko czerwona portyera drgała lekko. I dotąd nie wiem, czy złudzeniem, czy rzeczywistością była ta twarz patrząca na mnie z wyrazem, którego nie przebaczyłbym nikomu.

— Proszę jaśnie pana! — dał się słyszeć w tej chwili głos służącego.

— Dobrze, dobrze! Już idę.

Zbiegłem ze wschodów i wskoczyłem do powozu, w którym czekała na mnie matka z siostrami.

Dzień był gorący, w powietrzu senna cisza. Nad głowami naszemi ani jeden obłoczek nie snuł się po błękicie nieba, ale od południa u samych granic widnokręgu podnosiła się gęsta, czarna chmura.

Wjechaliśmy na drogę, pośród pól. Wietrzyk zaleciał leciutki i wszystkie zboża falą złotą, srebrną lub zieloną powiały ku nam. Powóz toczył się dalej, a ja zapomniałem powoli gdzie i po co jedziemy. Wszystkie moje nadzieje, pożądania dawne, myśli wszystkie ucichły naraz we mnie. Wzięły mnie w moc swoją bezbrzeżne płaszczyzny naszych pól i niby senny patrzyłem na nie, i niby senny czułem, że kołysze mnie ruchoma fala zbóż.

Skręciliśmy w las i ujrzałem przed sobą chmurę, która coraz wyżej i wyżej wznosiła się ponad horyzont. Czarna, groźna szła z daleka, niosła w łonie swojem jakieś tajemnice i powoli zbliżała się ku nam. Nie mogłem oczu od niej oderwać.

— Będzie burza — rzekła matka.

— Będzie burza — powtórzyły po chwili obydwie siostry.

Słowa ich zadzwoniły mi w uszach, jak gdyby wiatr przyniósł je zkądciś, z daleka. Prawie nie zrozumiałem ich znaczenia. Coś dziwnego działo się ze mną. Chmura tymczasem zakryła już słońce. Mrok szary padł na ziemię, a w mroku tym ciemne głębie puszczy

więcej niezawodnie, a spragnieni ich jesteśmy bardzo, bo na scenie naszej królowała długo zimna i szczudłowa patetyczność.

Nic więcej prócz słowa nadziei nie mogę również wysłać pod adresem p. *Grabowieckiego.* Jego Zbigniew miał chwile ślicznej deklamacyi, ale niemało wody upłynie, zanim ten deklamator zmieni się w artystę. Dziś jest to materyał tak surowy, że wystąpienie jego popsuło mi całego Słowackiego. Pan Grabowiecki sili się, aby „grać“ (tak mówią za kulisami), ale właśnie ten rozpaczliwy wysiłek wykrzywił całą postać, zabijając do szczętu wszystkie cechy naturalności, które poeta tej Byronowskiej postaci pozostawił. Jak ten Zbigniew przykładał rękę do piersi, jak się za głowę chwytał, jak oczami krążył i gdzieś z głębin żołądka głosu wydobywał, — wszystko to cechuje nietylko szkolną robótkę, ale i grę spaczoną może na wzorach małomiejskich, grę, o której Niemiec mówi, że „zrywa kulisy“. A szkoda! Bo materyał to niezły, a lubo surowy jeszcze, już wykrzywiony.

Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(Szczęśliwa Galicya. — Praktyki wyborcze. — Handel głosami. — Wybryki w teatrze.)

Dziwne to Eldorado galicyjskiego samorządu i galicyjskiej wolności! Ludzie z Królestwa i Poznańskiego lubią najczulsze westchnienia słać „tej najszczęśliwszej z ojczystych krain“ a niezmienny okrzyk: „Gdyby u nas tak było!“ brzmi w pianach i fortach, largach i appassionatach narodowych. Gdyby u nas tak było! Prawda! Mają swoje szkoły i swoje urzędy! Miłem jest dla ucha poznańskiego turysty, gdy z świstem lokomotywy miesza się okrzyk „Jazda“ zamiast krzyżackiego „Fertig“. Nikt tam pieśni polskiej nie zdusi, nikt w mózgi dziecka nie wbija ćwieków niemieckich. I czcić u nich wolno pamiątki narodu i polskiem słowem polskie serce weselić. I mają tam sejm polski i polskich profesorów, i białe orły na bramach, ścianach i sufitach i mają swoje wystawy i swoich Sapiehów — no! i żydów hałaciarzy i nędzę galicyjską i austryacki patryotyzm i Lysistratę w teatrze i wiele innych czarodziejskich skarbów, a przedewszystkiem — galicyjską sprawiedliwość.

Ta pani jest zaiste oryginalnem stworzeniem, czemś w rodzaju prostytutki arystokratycznej, rzucającej najczulsze spojrzenie i najsłodsze bakalie miłości złotym i pozłacanym rycerzom prawomyślności, a dla „hołoty“ nie mającej nic krom pogardy. Podwoje zamkowe tej niezałującej nigdy Magdaleny stoją otworem dla milionerów bez korony albo bankrutów z koroną, lecz i ci tracą natychmiast względy i pieszczoty czarującej „Kamelii“, gdy przypadkowo — co zresztą rzadko się zdarza, — dziejowe prądy ich skarby lub herby na czerwono zabarwią. Lojalna arystokratka gardzi czerwienią, bo to kolor gminu, kolor głodnego motłochu, którego wrzask drażni delikatne nerwy. Więc ułożona do snu lubieżnego na otomanie miękkiej pieści się delikatnym włosem a częściej łysiną mężów „ładu i porządku“, a dla malkontentów społecznych ma tylko wydęte wargi: C o m m u n!

Ale ten gmin pospolity, ta „zgraja burzycieli“ galicyjskiego d o l c e f a r n i e n t e jakoś dziwnie shardziała w ostatnich czasach i coraz zuchwalej trzęsie filarami zgniłego samorządu i coraz głośniej brzmi okrzyk ponury, że władze nie warstwie jednej lecz narodowi służyć powinny. A krzyk ten miesza się z orkiestrą skłóconych dźwięków wyborczych, z klątwami komisarzy, starostów i żandarmów gnających lud nieposłuszny do obozu lojalnych senatorów, z groźbami biskupów wyklinających ewangelistów nowego życia i nowych idei, z zapachem wódki i historycznej kiełbasy rzucanych między tłum ciemny a tysiącami głosów kupionych niosący zwycięztwo. Dziwne, przedziwne stosunki! Czytając lament dzienników, czytając skargi płynące z wszystkich stron Galicyi do redakcyi pism demokratycznych, i uwierzyć trudno i wstyd duszę ogarnia i ból. Tam żandarmi odstawiają niemiłego mówcę za bramy miasta, tam podstępem zamykają niebezpiecznego ludowca w biurze starostwa i tamują drogę do zgromadzonych wyborców, w innem znów miejscu rozwiązują zebranie przedwyborcze, gdy głos większości zwiastuje zwycięztwo ludowego stronnictwa, tu wreszcie komisarz i wójt przekupiony objeżdża chłopów i straszy ich wszelkiemi mękami policyjnego piekła, gdyby na „swego“ głosy oddać mieli. A ot! jeszcze jeden przykład najświeższego stempla. W pewnej wioszczynie zapowiedziano urzędowo zgromadzenie bez ściślejszego oznaczenia miejsca i godziny. Lud schodzi się, błądzi po drogach i czeka. Około południa zajeżdża pan starosta, wysiada kilka set kroków przed wioską i cichuteńko tylnemi drzwiami wkrada się do karczmy żydowskiej. Tu z alkierza wychodzi organista, dwóch żandarmów i 3 przekupionych chłopów, ukrytych od rana w mieszkaniu karczmarza. Starosta natychmiast zagaja zebranie i 6 wiernych Janczarów zatwierdza oczywiście jednogłośnie rządową kandydaturę. W pięciu minutach wszystko odbyło się „ładem i porządkiem“, w pięciu minutach okrzyknięto kandydata i z miną tryumfujących Cezarów opuszczono karczmę. Lud ujrzał starostę, więc ciśnie się zewsząd i pyta o miejsce zgromadzenia. „Wszystko skończone — odpowiada głos urzędowy, — idźcie do domów waszych, pilnujcie pługa i śpijcie spokojnie, bo opatrzność nasza czuwa nad dolą waszą“. O! konstytucyo! o wolności galicyjska! o sprawiedliwości starostów! jakże dumnym powinien być wiek XIX, że w dziejach swoich zapisać może tak promienne zdobycze!

Cała Galicya jest dzisiaj jak targowisko wielkie, — giełda mandatów. Hej! kto da więcej? Tam tysiąc głosów czeka na kupca. Sto guldenów, dwieście, trzysta, licytujcie panowie! Bez znacznych ofiar pieniężnych dziś nikt w Galicyi posłem nie zostaje, a najszlachetniejsi i najrozumniejsi rzucają nieraz smutne słowo przyjaciołom swoim: „Kandydować nie mogę, bo pieniędzy nie mam“. A gdy tak huczy ta giełdowa wrzawa, gdy gulden, wódka i kiełbasa hula bez maski na zebraniach wyborczych, gdy Judaszowych srebrników słychać brzęk złowrogi, podnosi się nagle włościanin z Wadowic — Styka nazwisko jego, — i wzywa szlachetniejszych braci do składki na mszą św. z tą intencyą, „a b y w s z e l k i e c y g a ń s t w a, p r z e k u p s t w a i z ł e p o d s z e p t y B ó g o d l u d u o d w r ó c i ł“. Jakaż to straszna ironia dźwięczy w tych słowach uczciwego chłopa! Jakiż to policzek dla tych, którzy niosą zarazę po kraju, deprawują lud, depcą nogami konstytucyę, równość i uczciwość. Lecz rząd spogląda na targowisko wyborcze z uśmiechem rozkoszy i drwi z mszy świętej, chłopskim zakupionej groszem.

Kto wie, czy i nam nie wypadnie na podobną intencyę mszy św. zakupić, gdy zbliżą się nowe wybory do sejmu i parlamentu, bo lubo demoralizacya polityczna tak rażących nie przybrała jeszcze rozmiarów w pruskim zaborze, to przecież byliśmy w ubiegłym roku świadkami wstrętnych manipulacyi „ładu i porządku“, który tam, gdzie nie mógł zwyciężyć, umiał dusić przeciwników! Dziś jednak przestrzeń daleka dzieli nas jeszcze od nowych zapasów i cisza wielka w kraju i dziennikach. Przebrzmiały

---

nabrały większej jeszcze tajemniczości. Wyjechaliśmy wreszcie z lasu, spojrzałem dokoła i niebo całe wydało mi się zasnute chmurami. W tej chwili matka powiedziała do mnie coś, czego nie pamiętam, bo spojrzawszy nagle przed siebie, zobaczyłem wysuwające się z lasu dziwne jakieś postacie, o niepewnych kształtach, wielkie... mgliste... szare.

Wpatrywałem się w nie całą siłą spojrzeń i dostrzegłem, że to byli wojownicy na koniach, wielkoludy na koniach — olbrzymach... Coraz więcej wynurzało się ich z lasu i z tententem kopyt powoli jechali naprzód. Poznałem. To byli rycerze, moi rycerze, moi z dawno nieśnionych dni mego dzieciństwa!

Strach mnie ogarnął niepojęty, a oni rośli wciąż przedemną, coraz wyżsi, coraz potężniejsi... Olbrzymie widma! Niby z lasu, i niby z chmury tej wychodzili czarnej i z brzękiem zbroi, z szumem skrzydeł szli ku mnie. Zbrojne duchy przeszłości! I było mi straszno i dziwno. Szedł na mnie od nich pradziadowych dni wiew, prastarych czasów odzywały się echa i surm bojowych w powietrzu drgał dźwięk. A oni zbliżali się coraz bardziej i przerażony patrzyłem w oblicza umarłych... Sen grobowy leżał im na twarzach, na oczach przyćmionych mgłą. Naraz podnieśli ciężkie powieki i umarłemi oczami spojrzeli mi w twarz... Krzyknąłem i nie wiem, co działo się dalej, bo ciemność zupełna ogarnęła mnie nagle.

Zemdlałem podobno, a matka przestraszona śród błyskawic i grzmotów zawrócić kazała ku domowi.

Zaledwo rozproszyła się ciemność, co niespodzianie spadła mi na duszę, z głębin pamięci wysunęły się znowu tajemnicze widziadła, stanęły przedemną i przed żadnem zaklęciem ustąpić nie chciały.

Wpatrywały się we mnie tym samym wzrokiem mogilnym, a ja wiłem się pod ich spojrzeniem. Czego chciały, czego chciały odemnie widziadła!! Klękałem przed niemi i modliłem się, wtedy bladły i oddalały się niby, a potem wracały znowu i topiły mi w duszy straszne, zagadkowe spojrzenie. Uciekałem, sił mi brakło, padałem i rozpaczliwym głosem wołałem o pomoc. Czasami zamykałem oczy, ale i z zamkniętemi oczami widziałem ich przed sobą. To znowu chwilami nikły rumaki, nikły postacie olbrzymie, ale to spojrzenie ich pełne tajemnic i klątw i skarg niezrozumiałych jak ciężar czułem na sobie. Z otwartych mogił, rozproszonych po polach, patrzyli na mnie umarli. Rzucałem się, krzyczałem głośno, pytałem, czego chcą odemnie?! Ale oni milczeli, tylko wzrok ich utkwiony we mnie, mówił mi o rzeczach dziwnych, i nowych, i strasznych...

Nie wiem, jak długo szamotałem się z nimi w ten sposób, aż nareszcie jednej nocy pod blaskiem posępnym ich spojrzeń rozdarła się zasłona, kryjąca przed duszą moją nieznane dotąd światy. Zrozumiałem, zrozumiałem ich nakoniec. I wtedy uspokajać się zacząłem, a oni bledli mi w oczach coraz bardziej przejrzyści, powietrzni, coraz niklejsi, aż rozsnuli się we mgły poranne.

Po raz pierwszy od wielu dni zapewne przytomnym wzrokiem spojrzałem dokoła i zamiast tajemniczych, rycerskich postaci ujrzałem zwykłe otoczenie moje, pokój mój sypialny, a przy łóżku siostrę starszą czuwającą nademną. Zrozumiałem, że musiałem być chory. Spojrzałem na jej twarz smutną, znużoną, pobladłą i pierwszy raz poczułem się naprawdę bratem tej kobiety o tyle dojrzalszej odemnie.

— Julio — szepnąłem, gdy pochyliła się ku mnie. — Julio, wiesz, baron nie zabierze już Olszowej.

Spojrzała mi w oczy swoim jasnym, rozumnym wzrokiem, i jak gdyby jej wszystko wiadomem było nie zapytała o nic, tylko zaczęła dłonią chłodną, miękką gładzić moje włosy i pieścić mnie i tulić jak dziecko. A mnie pod tem dotknięciem szczęście jakieś, jakaś radość nieznana wstępowały do duszy. Spokojny, po burzach i szamotaniach gorączkowych, uciszony jak dziecko po płaczu, usnąłem.

W kilka dni byłem już zdrów zupełnie, ale wstałem człowiekiem nowym.

* * *

Olszowa dotąd moja. Przed napaściami wierzycieli, przed pożądliwością Niemca i przed samym sobą potrafiłem ją obronić.

Jak dawniej kołyszą się na niej szumiące fale zbóż i jak dawniej przez pola jej przeciągają zapewne wybranym tylko oczom widzialne duchy poległych rycerzy.

hałasy namiętnych bojów, umilkły gwary wystawy, ucichły wiwaty na Galicyan i Górnoślązaków, i tylko teatr rozbrzmiewa w niedziele i „tanie wtorki“ wrzawą, gwizdaniem i dowcipami ulicy. Jest to istotnie sympatycznem zjawiskiem, że teatr nasz się demokratyzuje, że sztuka nęcić zaczyna te szare tłumy z przedmieść poznańskich, które po całodzieenej pracy zamiast do szynku spieszą do przybytku muzy narodowej, lecz dla artystów i dojrzalszej inteligencyi męczarnią bywają nasze przedstawienia „ludowe“. Nie mówię już o pauzach, wypełnionych wrzaskiem i głośnemi kłótniami lub tłustemi dowcipami clownów z galeryi i parteru gimnazyalnego, ale pragnąłbym przynajmniej tamę położyć przerywaniu sztuki niesmacznemi komentarzami. Gdy w najdramatyczniejszych sytuacyach rozlega się z paradyzowych wyżyn okrzyk donośny: „Dzień dobry wujaszku“, gdy parter wita artystkę wstępującą na scenę słowami: „A pójdziesz!“, to teatr zamienia się w kantynę lub jakieś trzeciorzędne „Moulin rouge“, gdzie pobyt dla wytworniejszej publiczności staje się nieznośnym, a nieprzyzwyczajeni do poznańskiej estetyki artyści tracą równowagę lub lekceważą grę przed bohaterami ulicy. Tu pisma ludowe bezwarunkowo głos podnieść powinny i energiczną lekcyą stłumić to panoszące się coraz więcej rozluźnienie wszystkich karbów przyzwoitości, bo w przeciwnym razie przedstawienia wtorkowe i niedzielne staną się postrachem nietylko inteligencyi, ale wszystkich ludzi, obdarzonych choćiaż odrobiną smaku i artyzmu. Co do mnie, to największy żal czuję do młodzieży gimnazyalnej, uczestniczącej w popisach rozpasanej łobuzeryi, lub zdradzającej najniestosowniejszemi eksplozyami śmiechu litości godną niedojrzałość umysłową. I ja pamiętam te czasy, gdy zduszony jak arkusz papieru w prasie parterowej, wyrażałem głośnemi okrzykami i frenetycznemi oklaskami sympatye swoje dla artystów, i ja pamiętam te chwile, gdy na parterze gimnazyalnym walczyły z sobą o lepsze grzmiące brawa dwóch wrogich sobie obozów, z których jeden wołał „Bissen!“ a drugi „Pankiewicz!“, ale z tego studenckiego zakątka teatru nie leciały nigdy ku scenie brutalne żarty, zdradzające charakter uliczników, i śmiech homeryczny nie witał Wojewodę z Mazepy, gdy z trumną na ramieniu wstępował na scenę. Starsi czuwali nad młodszymi, a jeżeli zdarzył się istotnie wybryk zuchwalszy, to znalazła się z pewnością młodzież dojrzalsza, powołująca do porządku niesfornych kolegów. Dawniej parter gimnazyalny miał może opinię klakierów, dziś jest plagą i postrachem publiczności.

Dla nas Poznańczyków, dla których teatr jest nietylko jedyną nieomal rozrywką, lecz szkołą narodową o doniosłem znaczeniu, reforma tych nieznośnych stosunków jest istotnie kwestyą palącą, a dyrekcya z swej strony mogłaby się przyczynić do poskromienia hałasów, gdyby dzieciom niżej lat 8 mniej więcej odmówiła wstępu. Dziś całe rodziny z niemowlętami nawet zasiadają galerye, a ztąd teatr zamienia się nieraz w popisy wrzasku i pisku dziecięcego. Ile na tem traci starsza publiczność, wrażenie sztuki, gra artystów, tego chyba tłomaczyć nie potrzebuję. Usuńcie zatem dzieci z teatru lub zaopatrzcie galerye i loże drugiego piętra — w tytki z karmelkami i flaszeczki z mlekiem.

Sulla.

Wolne głosy.

.W sprawie mileszewskiej.

Od pana mecenasa Wyczyńskiego z Brodnicy odbieramy z prośbą o umieszczenie pismo następujące:

„Obrażająca w najwyższym stopniu dla mnie wzmianka w nr. 200 „Gońca Wielkop.“ z dnia 1 września — numer ten doszedł mnie dopiero dzisiaj — zmusza mnie, pomimo tylokrotnych oćwiadczeń z mej strony, do powrócenia raz jeszcze do sprawy mileszewskiej. W numerze owym „Gońca Wielkopolskiego“ powiedziano:

„Pan mecenas Wyczyński, zawiniwszy o tyle, że pohopnie z początku Niemca do Mileszew wprowadził, ocknął się jednak, dowiedziawszy się, że p. Starck jest kolonizatorem, a poświęciwszy prowizyę, zrobił zwrot stanowczy i t. d.“

Tych kilka słów przewyższa wszystko, co w tym względzie napisano.

To zaczepianie mnie, to zmyślanie i przekręcanie faktów jest tem charakterystyczniejsze, że autor lub autorzy tych oszczerstw nie podają swych nazwisk, lecz obawiając pociągnięcia ich do odpowiedzialności, zastawiają się redakcyą

Pod względem faktycznym oświadczam:

1) Pana Starcka wogóle do Mileszew nie sprowadzałem. Wymieniłem spadkobiercom p. St. jako reflektanta na Mileszewy — i na tem koniec. Ani za nim nie przemawiałem, ani nie popierałem jego zamiaru kupienia Mileszew.

Jak można fakt tak prosty jak „wymienienie“ p. St przekręcać na „pohopne wprowadzenie“ go do Mileszew?!

Pan St. dopytywał się poprzednio u mnie o Mileszewy i z tego powodu (nie wiedząc nic o jego stosunkach z komisyą kolonizacyjną) wymieniłem go spadkobiercom. Chciałbym wiedzieć, co w tem zdrożnego i któryby człowiek — adwokat lub nie adwokat — nie byłby sobie tak samo postąpił. „Ocknąć“ więc nie miałem się z czego.

2) Ani prowizyi, ani innego wynagrodzenia nie przyrzekał mi nikt — ani p. Starck, ani spadkobiercy ś. p. Ignacego Łyskowskiego, ani ktokolwiekbądź inny. Od nikogo też żadnej prowizyi ani żadnego innego wynagrodzenia nie żądałem. Wogóle nigdy do nikogo o prowizyi lub jakiemkolwiekbądź wynagrodzeniu ani listownie, ani ustnie, ani wprost, ani przez trzecią osobę, ani pośrednio, ani bezpośrednio nie wspominałem, nikt też do mnie z propozycyą prowizyi lub jakiegokolwiekbądź wynagrodzenia się nie odzywał.

Jestem adwokatem a nie agentem dóbr.

Wyczyński.

Brodnica, dnia 13 września 1895.

KRONIKA LITERACKA.

† Jan Kleczyński. Z Warszawy dochodzi bolesna wiadomość. Onegdaj zmarł tamże jeden z najwybitniejszych muzyków i krytyków muzycznych polskich, Jan Kleczyński, profesor warszawskiego konserwatoryum, współredaktor „Echa muzycznego i teatralnego“. Urodzony w r. 1840 w Lublinie, po skończeniu studyów w Paryżu, jako dwudziestokilkoletni młodzieniec ukazał się po raz pierwszy tamże na estradzie koncertowej. Za numer wstępny swojego koncertu młody wirtuoz wybrał wówczas pierwszy koncert (E-moll) Chopina za towarzysza zaś instrumentalnego wystarczył mu kwintet smyczkowy. Ogarnięty atmosferą artystyczną stolicy nadsekwańskiej, zbierał młody wirtuoz skrzętnie wszelkie okruszyny i ślady tradycyi Chopinowskiej i znalazł w niej niemal zasadę swej artystycznej działalności. Zapał ten i entuzyazm dla Chopina, poparty odpowiedniem przygotowaniem technicznem, od razu zwrócił uwagę ogółu na młodego muzyka, który od tego czasu coraz wybitniejsze zaczął w polskim świecie muzycznym wyrabiać sobie stanowisko.

Postawiony pod względem wykształcenia ogólnego o wiele wyżej ponad przeciętną normę współkolegów muzycznych, obok pracy nauczycielskiej, jak zwykle mozolnej i niełatwej, wziął się Kleczyński do szermierki piórem, i wkrótce stał się jednym z wybitniejszych sprawozdawców z ruchu artystycznego. W parze z tym rodzajem działalności szło przygotowanie materyałów, dotyczących traktowania i wogóle artystycznego znaczenia dzieł Chopina. Świadczą o tem wydane następnie studya analityczne. z których niektóre ukazały się również w języku francuzkim. Owocem zamiłowania w pracy literackiej było wytworzenie specyalnego pisma poświęconego muzyce, „Echa muzycznego i teatralnego“, obejmującego już dziś wszystkie, nietylko muzyczne, łany artyzmu.

Imię Jana Kleczyńskiego wiąże się ze wszystkiemi poważniejszemi objawami pracy społecznej w zakresie sztuki muzycznej w Warszawie. Jest on jednym z założycieli „Towarzystwa muzycznego“, którego 25-letniego jubileuszu nie danem mu było doczekać. Poza pracą nauczycielską i literacką (feljetony jego drukowane były w czasopismach: „Bluszcz“, „Tygodnik Ilustrowany“, jako też w „Kuryerze Warszawskim“) Kleczyńskiemu nie brakowało energii i czasu do pracy na polu kompozytorskiem. Jest on autorem licznego szeregu utworów fortepianowych oraz wokalnych, z pośród których wiele doczekało się nietylko wydań powtórnych, ale przytem poszczycić się mogło szeroką popularnością. Lekkie, powiewne „Scherzo“ Asnyka dotychczas pozostało jedną z najulubieńszych perełek repertoaru wokalnego.

Jako pedagog wydał ś. p. Kleczyński studya techniczne w zakresie elementarnym. Najpoważniejszą jednak i najtrwalszą ozdobą jego działalności jest niewątpliwie wydanie kompletne dzieł Chopina. W opracowanie tego niespożytego bogactwa ś. p Kleczyński wlał wiedzę i doświadczenie, pracę i energię całego żywota. Nic też dziwnego, że wydanie to wyróńia się sumiennością i dalekim od pedanteryi krytycyzmem z pośród całej setki wydań współczesnych, nad któremi jaśnieją nieraz imiona pierwszorzędnego blasku.

Zgon zasłużonego pracownika osieroca profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Józefa Kleczyńskiego, który jest rodzonym bratem zmarłego.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Wybory do rady miejskiej we Wiedniu rozegrały się 18 b. m. Zwycięztwo odnieśli antisemici; stronnictwo liberalne utraciło 12 mandatów. — Sprawa byłego redaktora „Kreutz-Ztg.“ bar. Hammersteina, coraz więcej rozognia umysły. Zbiegłemu filarowi stronnictwa konserwatywnego zarzucają oprócz licznych fałszerstw wekslowych i podobnych oszustw, także zbrodnie przeciw moralności. — Otwarcie cieszyńskiego gimnazyum odroczono z przyczyn niewiadomych. — Spółka HKT. postanowiła na jednem z zebrań najświeższych działalność swoją osłonić tajemnicą i w sposób kreci prowadzić dalszą robotę. — W Niemczech od czasów ostatniej mowy cesarskiej poczęły się mnożyć procesy przeciw socyalistom i konfiskaty czasopism socyalistycznych. — Obiegają pogłoski, że ustąpi ze swego urzędu p. Herbette, ambasador francuski w Berlinie. Nie spodobał się podobno udział jego w uroczystościach kilońskich i stanowisko zajęte wobec zamiaru weteranów niemieckich złożenia wieńców na grobach poległych we Francyi żołnierzy.

* **Teatr i muzyka.** Sztuka Sawiczewskiego pod tytułem „Na bezdrożach“, premiowana drugą nagrodą na ostatnim konkursie dramatycznym, nie doznała powodzenia ani na lwowskiej ani na krakowskiej scenie. — W czwartek wystąpiły na scenie poznańskiej po raz pierwszy p. Vernon („Barkarola“) i p. Ogińska („Grube ryby“). Obie artystki zyskały sobie uznanie publiczności. — Prezesem dyrekcyi teatrów warszawskich mianowany został p. Andrejew z Petersburga. — Dyrekcya teatru krakowskiego stara się usilnie o uzyskanie aprobaty cenzury dla głośnej sztuki Halbego p. t. „Młodość“. Dotychczas władze zajmują stanowisko odporne. — W sobotę 21 b. m. wystawi teatr poznański komedyę Schonthana p. t. „Pan Senator“. Utwór ten cieszył się wielkim sukcesem kasowym tak na warszawskiej jak i na lwowskiej scenie.

Zmarli:

* **Ks. Arcybiskup Zygmunt, Szczęsny Feliński**, zm. 17 b. m. w Krakowie.

* **Jan Kleczyński**, znany krytyk muzyczny i profesor konserwatoryum, zm. 15 b. m. w Warszawie. (Patrz w „Kronice literackiej“).

Odpowiedzi Redakcyi.

O. D. w Tarnowie. Całą duszą jesteśmy z wami i gorąco pragniemy waszego zwycięztwa, ale propozycya Szan. Pani wydaje nam się niepraktyczną. Artykuł z takiego oddalenia nie odniósłby żadnego skutku, a dla czytelników naszych detaliczne wykrawki z galicyjskiej walki wyborczej nie przedstawiają większego interesu, bo i ludzie i stosunki bliższe obce są dla nich Postaramy się jednak, aby w najbliższym czasie rozwinąć ogólny obraz położenia waszego, a dzisiaj znajdzie Szan. Pani w „Przeglądzie“ kilka feljetonowych promyków, rzuconych w ciemne otchłanie galicyjskiego samorządu.

S. J. Kto jest autorem tej banalnej satyry — nie wiemy. Pretensyonalność jednak, beztaktowność i naiwność utworu wskazuje na pochodzenie z ław szkolnych niższego rzędu.

Alef. Przeprowadzenie analizy psychologicznej w nowelce pańskiej jest za mało pogłębione a kompozycya i język pozostawiają wiele do życzenia. Nie radzimy jednak odkładać pióra, bo utwór nadesłany świadczy bądź co bądź o pewnych zdolnościach literackich. Zalecamy tylko tematy i typy powieściowe czerpać z życia, nie z fantazyi i książek.

Sprostowanie.

„Przegląd Poznański“ nie jest zapisany pod literami II t. 86 a, jak mylnie podano w zeszłym numerze, lecz pod literami **II. t. 90 a**, na co zwracamy uwagę Szanownych czytelników naszych.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Mecenas Dziorobek ze Śremu 10 marek.
Ogółem dotychczas zebraliśmy 761,40 mrk.
O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.